

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 13 (1801) • 28 marca – 3 kwietnia 2025



Panteon
nienarodzonych

str. 8-9

Wrak barki

str. 3



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

YouTube Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

♦ Sekretarz generalny NATO Mark Rutte odwiedził Donalda Tuska. „Powień wprost: kto bardziej niż Polska zasługuje na pełne wsparcie i pełne gwarancje ze strony NATO?” – przemówił doń gospodarz. „Mamy taką, a nie inną geografie, mamy taką, a nie inną historię, mamy determinację, jak żaden inny kraj natowski dzisiaj, jeśli chodzi o inwestowanie w naszą obronę” – tokował premier. I to jest oczywiście jeden punkt widzenia, obowiązujący (a raczej obowiązujący) w Polsce. Ale jest też inny, coraz częściej słyszany na Zachodzie, nawet jeśli nieoficjalnie: otóż Polska – a przynajmniej jej polityczna elita – jest czołowym podlegaczem wojennym w Europie, która potrzebuje rozsądku wiodącego do pokoju. Jakby ktoś chciał wiedzieć, o co chodzi, warto posłuchać tzw. wojskowych ekspertów, bo są oni mniej zakłamanymi politykami. Próba z ostatniego tygodnia – kmdr por. rez. Maksymilian Dura, ekspert Defence24: „Powień brutalnie i być może niehumanitarnie: mam nadzieję, że te rozmowy spełzną na niczym i ta wojna będzie trwała”. I jeszcze komander porucznik dodał: „To jest problem cały, że duża część osób mówi, że jednak ten pokój jest potrzebny”.

♦ Politycy nie mają w sobie dziecięcej szczerości emerytowanych wojskowych, ale prezentują równie młodzieńczą egzaltację. W sejmie, w ramach polskiej prezydencji UE, odbyła się konferencja międzyparlamentarna na temat polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Najbardziej spodobał nam się wicepremier Kosiniak-Kamysz: „Jeżeli dla kogoś bezpieczeństwo nie jest wszystkim, to wszystko bez bezpieczeństwa jest niczym”. Pan premier wyraźnie jest fanem kapeli Poparzeni Kawa Trzy: „Była dla mnie wszystkim, co się w życiu liczy, teraz gdy po wszystkim, wszystko jest już niczym”. Przemawiał też marszałek Hołownia. „W Europie potrzebna jest odwaga przywództwa, która jest dziś towarem deficytowym” – ogłosił, po czym pouczył zebranych, że „przywództwo to nie jest skkanie, robienie z siebie małpy w mediach społecznościowych, jak dzisiaj jest to często w naszych krajach definiowane. To nie jest latanie z pięścią i wyrażanie wszystkim: jak ja teraz powywracam stoliki. Przywództwo to jest mieć odwagę powiedzieć to, co wszyscy myślimy”. My myślimy sobie wywrotowo, że odwaga polega właśnie na mówieniu rzeczy, których inni nie myślą. Ale może to tylko my, sieroty po Urbanie, tak sądzimy.

♦ Rafał Trzaskowski udzielił godzinnego wywiadu dla Polsat News. Morał z niego płynie taki, że aby zachować wizerunek inteligenta, politycy powinni się ograniczać do krótszych form. Próba wywodu prezydenta stolicy, jak mu nikt nie przerywa: „Będziemy mogli Europejczykom mówić, że mamy wyjątkowe relacje z Amerykanami, bo przecież to nas wzmacnia, bo prezydent Rzeczypospolitej, który pojedzie rozmawiać z Trumpem, jeżeli będzie mówił w imieniu Polski, będzie miał za sobą autorytet państwa polskiego – ale z drugiej strony możemy mówić spokojnie w imieniu całej Europy, bo jesteśmy bardzo wiarygodni i takich właśnie partnerów Amerykanie będą traktowali w sposób partnerski, a z kolei Europejczycy będą świetnie wiedzieli, że mamy tę wyjątkową zdolność przekonywania Amerykanów do tego, żeby Europa wykonała tak ciężką pracę, jaką wykonała Polska”. Tak dla porządku: przekonywanie Amerykanów, żeby Europa wykonała ciężką pracę, brzmi trochę jak chodzenie do pani na skargę. Ponadto koncept, że p. Trzaskowski wytłumaczy p. Trumpowi, że powinien zarzucić swoją wizję polityki międzynarodowej, bo my wiemy lepiej, jest odrobinę niepoważny. Na pytanie, dlaczego zachodnie media piszą w kontekście rozmów o Ukrainie o Macronie i Trumpie, a o Tusku nie, Trzaskowski odparł przebiegle: „Bo my działamy zakulisowo”.

♦ „Pan Szejna dzisiaj oświadczył, że zmagał się z zmagą z chorobą alkoholową. Myślę, że najważniejsze w jego życiu jest to, że postanowił wreszcie o tym jasno powiedzieć i to nazwać, gdyż jest to akt ważny w stosunku do rodziny, w stosunku do dzieci” – ogłosił pryncypialnie rodzinny przewodniczący Czarzasty. A kandydatka Biejąć dodała: „No cóż, to jest poważna choroba, poważny problem i cieszę się, że pan minister jest już zdrowy... Znaczą, że sobie z tym radzi”. Ten niezwykle pokaz tolerancji wobec ludzkich – a szczególnie polskich – słabości nieco popsuł Donald Tusk, który na posiedzeniu Rady Ministrów polecił Sikorskiemu „urlopowanie wiceministra i pilne wyjaśnienie sprawy w każdym aspekcie”. Na sugestie, że stanowisko wiceministra spraw zagranicznych to nie terapia zajęciowa, politycy lewicy odpowiadają, że Szejna jest wybitnym fachowcem i odwołanie go byłoby stratą dla Rzeczypospolitej. Szejna ma w CV dwa miesiące na stanowisku podsekretarza stanu w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej i jedną kadencję w europarlamencie. Czy to naprawdę najlepsze, co lewica może zaoferować resortowi spraw zagranicznych? To może pora popracować nad długością ławki?

♦ Jarosław Kaczyński, zapytany, czy rodzina Barbary Skrzypek wyraziła zgodę na pisowską sambę funeralną nad jej grobem, odparł twardo: „Świętej pamięci Barbara Skrzypek była z nami przez 30 lat – a tak naprawdę dłużej – bardzo mocno związana i w związku z tym sądzę, że mamy prawo o jej śmierci i okolicznościach mówić to, co po prostu jest faktem, mówimy tutaj wyłącznie o faktach. A jeżeli chodzi o postawę rodziny, to nigdy żadnego sprzeciwu w tej sprawie żeśmy nie usłyszeli”. Nie był chyba jednak tak do końca pewny swego, bo dodał: „Mamy do czynienia z wydarzeniem o charakterze publicznym, to było niewątpliwie wydarzenie o charakterze publicznym, to można o nim mówić”. O ileż by było wygodniej, gdyby Barbara Skrzypek była trzecim bliźniakiem.

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Marzec 2013 r.



Świętej Benedykty

Zmiana papieża była dla mnie kuracją odwykową od telewizyjnych programów informacyjnych i publicystycznych, które torturowały tym wydarzeniem. Ponieważ nie jest ono ważne, to widocznie pokupne.

Kiedy w roku 1983 papież K. Wojtyła przyjeżdżał do Polski, proponowałem, żeby na obu wówczas istniejących kanałach od rana do nocy dawać tylko papieża. Żadnej pogody, sportu, dobranocki, to J.P. II obrzydnie wszystkim do końca ich życia. Towarzysze byli mądrzejsi i pomysł odwalili. Oto, jaki bywałem naiwny.

Franciszek jest groźny, gdyż jako sympatyczny antyliberalny populistą będzie miał w Polsce wzięcie. Wojtyła był wielbiony jako Polak, który zrobił karierę najdalszą od zmywaka. Nie widziano pozera w jego ostentacyjnym rozmodleniu ani trzeciorzędnego aktora, kiedy „na luzie” uwodził wyznawców. Mówił o sobie w trzeciej osobie, np. „papież chce spać”. Dobrze, że nie „moja świątobliwość musi siusiu”. O jego frazesach zwanych naukami pamięć ginie. Na ring wszedł lepszy zawodnik.

Świętego Patryka

Henryk Sawka jest nie tylko genialnym rysownikiem satyrycznym cenionym w Europie Wschodniej i na Bałkanach. Jest także znakomitym songistą zwanym Kukizem centrolewicy. Ma przy tym stabilne, niecelebryckie życie rodzinne, chociaż jego córka grała partnerkę polskiego R. Kiplinga w filmie Henryka Sienkiewicza „Plomykiem i scyzorykiem”, w którym wymyka się na pustyni islamskim Krzyżakom. Wadą artysty jest silna potrzeba braterstwa. Sawka wymyślił sobie brata-autorytet, obiecuje, że go pokaże, zadziwi świat. Trwa to od 10 lat, już 78 razy miał brata dać do oceny Daniszewskiej. Brat jednak zawsze chorował, wyjeżdżał, ukrywał się przed policją, rozsiewał zarazki, miał kongres, wykład lub jubileusz. Aż stało się zrozumiałe

dla dworu otaczającego H. Sawkę, że Wielki Brat jest marzeniem mistrza, imaginacją. Nocami Sawka rysuje sobie brata, drze kartki, wyrzuca, ponieważ kształt brata wciąż nie uzyskuje pożądanej doskonałości. Nad ranem próbuje brata wyśpiewać, stąd i hałasy w byłym porcie Szczecin. Ostatnio brat Sawki dostał Oscara pod pseudonimem brata Cohena.

Świętego Józefa

W Warszawie odbyły się obchody imieniny świętego Józefa Oleksego. Patrona Oleksemu wybrano nietrafnie, bo św. Józef I był człowiekiem pracy, któremu archanioł przyprowadził rogi.

Jak co roku solenizant wygłosił przemówienie na swoją cześć.

Wielkimi krokami zbliża się 75-lecie urodzin Daniela Passenta. W dniu tym w IPN będą mieli wolne.

Świętego Cyryla

Ukazała się książka „Anatomia siły” – rozmowa Roberta Krasowskiego z Leszkiem Millerem. Wynika z niej, że Miller to nie polityk, ale technik gry o władzę. Jest to bowiem opowieść o środkach, ale nie o celach. Warto przeczytać, żeby dowiedzieć się także, jak żrą się liderzy lewicy.

Leszek Miller na str. 299: „...może mój obraz racjonalnego społeczeństwa jest wyidealizowany. To są w końcu nie tysiące, ale miliony ludzi, którzy od Polski modernizacji woła Polskę ciągłych spisków i konspiracji”.

Jednakże na poprzednich stronach Miller opowiada, że jego rząd obalił spisek Kwaśniewskiego z Michnikiem, a ja byłem trzecim spiskowcem. Nie mniej fantastyczne niż przypuszczenie, że prezydent lub Michnik ze mną spiskowali, są moje motywy udziału. Miller twierdzi, że pospieszyłem obalić rząd, ponieważ zawiódłem się w rachubach, że będę dostawał od władz sensacyjne informacje dla „NIE” od służb specjalnych i policji. Nie mogłem też znieść tego, że mój salon

polityczny opustoszał. Co też jest bez sensu, bo Miller przestał u mnie bywać, czyniąc salon, bo go krytykowałem, nie zaś krytykowałem, bo przestał bywać.

Skutek czytania Millera jest dla mnie politycznie rujnujący. Kiedy potem biorę do ręki prasowe wywiady z Tuskiem, rwę sobie włosy z łona. Kurwa! Toż to wybitny mąż stanu.

Świętej wiosny

Daniszewska zaniosła mojej córce na urodziny małą lodówkę do kosmetyków. Cały rodzinny wieczór spędzono na regulowaniu ustroju, czytaniu instrukcji, kłopotaniu się, że ona to świeci, to nie świeci.

Czytam książkę Daniela Kahnemana „Pułapki myślenia”. Już wiem, że jeśli się ludziom powie, że płacenie kartą jest o 2 proc. droższe niż gotówką, to będą używać banknotów, ale jeśli się zapewni, że płacenie gotówką zapewni 2 proc. premii, to będą płacić kartą. Że jak zgubią bilet do teatru za 10 dol., to połowa go nie kupi po wtórnie i nie pójdzie na spektakl, bo nie będą dwukrotnie przepłacać. Natomiast prawie wszyscy, którzy zgubią 10-dolarowy banknot, kupią bilet i pójdą do teatru, choć strata jest taka sama. Ludzie nie kupią przyznaku za 15 dol., jak im się powie, że w innym sklepie kosztuje 10 dol. Ale nie pójdą do innego sklepu, żeby oszczędzić te same 5 dol., jeśli różnica cen wynosi 1015 dol. i 1010 dol. Uczę się, jak można manipulować, mając tę wiedzę, za którą Kahneman dostał Nobla z ekonomii.

Gdybym na urodzinach córki zdradził, że lodówka (prezent) kosztowała 200 zł, wszyscy przestaliby się zajmować badziewiem, a zajęli rozmową.

Świętej Klementyny

Walka o równouprawnienie kobiet nieśmiało wychodzi na ulice.

Ona: – Daj piwo.

On: – Idź patrzeć dzieci.

Ona: – Jedno.

On: – Idź patrzeć dzieci.

Ona podchodzi bliżej. On reklamówkę z piwem oburącz chowa za plecami i wysuwa ku niej nogę. Jest ślisko. Ona przerażona krzyczy: – Stłuczesz, job twoją mać!

Ich pies szcza na słup.

Świętej Lei

W „Gazecie Polskiej” literat prawicy Wencel twierdzi, że stalinizm wyniósł na piedestał Tuwima i Szymborską. A więc nie publiczność przedwojenna w pierwszym wypadku, a Nobel i geniusz w drugim. Są oni gnojem, po którym Wencel nie chce się ślizgać. Po wygarnięciu gnoju ich miejsce powinni zająć Wierzyński, Baliński, Łobodowski, Iwaniuk, Sułkowski, Bak. Wencel pomija ks. Bakę. Z nowych wieszczów znam tylko nazwisko Wierzyńskiego.

Usuwanie i nominowanie poetów wedle kryteriów politycznych nie ma oczywiście nic wspólnego ze stalinizmem, jest świeżym pomysłem narodowym. Kiedy się z Wojciechem Wenclem i Marcinem Wołskim zrymuje wszystkich żołnierzy wyklętych, kupą zastąpią Homera, Szekspira i Broniewskiego nawet.

Nadal świętej Lei

Łączymy się ze Stanami. Podobno Obama nie wysłał jednak Passentowi życzeń na 75. urodziny. Waszyngton ograniczy się do listu sekretarza stanu. Skądinąd zwiększa to szansę na życzenia od Putina. Takiego zdania jest otoczenie min. Ławrowa. Pekin milczy, skośni nie przeciekają. Pewna jest tylko Merkel. Komitet Obchodów zawiadomiono, że w przeddzień kanclerz odwiedzi Jubilata w jego berlińskim apartamencie.

Red. Daniela Passenta nie ma na liście odznaczanych w kwitniu Legią Honorową, chociaż ten francuski order mają już wszyscy w redakcji „Polityki” z wyjątkiem woźnych i kierowców. Prezydent Hollande na pewno nie jest antysemitą, ale jego doradcami są tacy socjaliści, którzy w piątek biegna do meczetu. □

PRAŚA ŚNIADANIOWA

- **Donald Tusk** opublikował zdjęcie incognito z meczu Polska–Malta. Normalnie Stirlitz.
- W **plecaku survivalowym Biedronki** znajduje się między innymi łom i nóż taktyczny. W zestawie zabrakło tabletki z cyjankiem.
- **Trumpowi** nie podoba się jego portret wiszący w Kapitolu stanu Kolorado. To zaczyna przypominać „Portret Doriana Graya”.
- **Grzegorz Braun** zapewnił, że wkrótce czekają nas kotlety świerszczowe. RIP, Filip.
- **Tatrzański Park Narodowy** apeluje, aby nie fekalizować gór. Czy niedźwiedzie to słyszą?
- **NBP** postanowił zaprosić wybrane polskie rodziny do zwiedzania skarbcza. Każda rodzina może przyjść z asystentką.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WATERS

LISTONOSZ DONIOŚL

Szanowna Redakcjo

Lubię artykuły i docieklivość w nich Redaktora Roberta Jarugi. Jego artykuł „Kontrola absolutna, skuteczność zero-wa, miliony w błocie” („NIE” nr 10/2025) jest jak najbardziej na czasie, bo ostatnio właśnie przebywałem na zwolnieniu lekarskim i doświadczyłem tego, co to znaczy L4. Najważniejszą sprawą była nie sama rekonwalescencja, a oczekiwanie na kontrolera ZUS i niepewność, czy mam go przysłać w piżamie i z termometrem w ustach, czy powitać w garniturze. Czy rano, czy wieczorem „w drzwi załomocą”? Na zwolnieniu miałem napisane: zalecana umiarkowana aktywność fizyczna, więc wychodząc do sklepu po chleb, zostawiałem przyklejoną do drzwi karteczkę informującą kontrolera, gdzie jestem, kiedy wrócę i mój numer telefonu. W sklepie najważniejsze było dostać paragon, który miał być moim alibi, jakby co. Kontroler nie przyszedł – uff, ale na koncie dostałem tylko 80 proc. wynagrodzenia chorobowego, czyli te 20 proc. to jest to, za co może ZUS utrzymać kontrolerów i całą tę procedurę.

Z uszanowaniem dla Redakcji i Redaktora Roberta Jarugi
Jerzy Dryzek

Nic przyjemnego

Niedopuszczenie do przesłuchania adwokata PiS – jest oczywistą oczywistością, że poszedłby do prokuratury pilnować interesów Prezesa, w tym wywierać presję na przesłuchiwaną (choćby samą swoją obecnością), a nie dbać o bezpieczeństwo prawne p. Skrzypek (...). Toteż pani prokurator słusznie nie dopuściła go do czynności – przeszkadzałby przesłuchującej i przesłuchiwanej oraz wyniósł informacje ze śledztwa. (...)

Rozmowa z panią prokurator to nic przyjemnego, wiem, co piszę. Ale nie było informacji o tym, że zastąpiła (Barbara Skrzypek – red.) w trakcie albo tuż po wyjściu z prokuratury. Dlatego przekonuje mnie teza mec. Kalisza, że dopiero rozmowa z Prezesem była istotnie stresująca. Sądzę wręcz, że dopiero to przesłuchanie było o wiele bardziej stresujące dla p. Skrzypek. Pytanie, czy jedno i czy tylko telefoniczne.

Pozdrawiam
Stefan Szpalerski

Karol. Człowiek, który został na papierze.

Wrak barki

20 lat minęło jak jeden dzień. 20 lat od zgonu Karola Wojtyły używającego scenicznego pseudonimu Jan Paweł II. 2 kwietnia 2005 r. o godzinie 21.37 słowiańskie serce w watykańskim pałacu przestało bić. Sierot po nim ubywa, za to mnożą się wątpliwości co do wybitności Jego Świątobliwości. Choć pomnikami i ulicami jego imienia Polska zasrana jest wzdłuż i wszerz, to okrągłą rocznicę „odejścia do Domu Ojca” przyćmi pewnie byle pierdnięcie Trumpa lub kampania prezydencka. Papież Franciszek też średnio rokuje, więc może skraćć mu show. Przypomnijmy, że Wojtyła na kilka miesięcy przed śmiercią również trafił do kliniki Gemelli z powodu problemów z oddychaniem. Bergoglio jest starszy, co w tym przypadku nie działa na korzyść pacjenta. Papiestwo po prostu zapiera dech w piersiach.

Sprzedajny

20 lat temu niemal cała Polska i pół świata żyły ostatnimi tchnieniami steranego pontyfikatem, wykończonego przez parkinsona i inne choroby papieża z Polski. Dwie dekady wstecz polski krajobraz medialny wyglądał zupełnie inaczej i ci, którzy domagają się dziś rozliczenia przestępców w sutannach i wspierają mniejszości, wówczas byli w awangardzie opiewania zasług Wojtyły dla świata, zaś akcja „Nie płakałem po papieżu” napawała ich wstrętem. Celebryci prześcigali się we łzawych wspomnieniach, jak to ojciec święty był dla nich bardziej ojcem niż własny ojciec i jak bardzo tę śmierć przeżyli. Dziś z równym zaangażowaniem wymachują tęczowymi flagami – taka jest mądrość etapu. Płakali Lis i Durczok, Koźmichowska i Koziński, profesorowie i sprzątaczkę, lewica, prawica i liberałowie. Cukiernicy osładzali żałobę kremówkami, rękę na zgodę podawali sobie kibole i byli prezydenci. Piosenkarze wyli smętne ballady. Premier Marek Belka ogłosił sześciogodniową żałobę narodową, a Kwach zarządził opuszczenie flag do połowy masztu. Odwoływano koncerty, telewizje zmieniały ramówki, żeby nie naruszyć powagi chwili głupawą komedią.

Przed papomanią nie dało się wówczas uciec. Królowały jeszcze tradycyjne media, którym w tradycyjny sposób udało się zmonetyzować końcówkę JP2: specjalne wydania gazet, książki, albumy, płyty, filmy, kalendarze, plakaty – dziś, gdy wszystko dostępne jest w sieci, nie dałoby się zarobić takiego hajsu. Papież swoją śmiercią nie zaskoczył, toteż każdy szanujący się wydawca miał w zanadrzu okolicznościowe wydania ze wzruszającymi fotografiami i rozczułającymi historyjkami osób, które twierdziły, że znały papieża, a było ich wówczas z pół Polski. To ostatni wkład Jana Pawła II w budowanie polskiego kapitalizmu.

Hamulcowy

Agonię papy relacjonował nomen omen na żywo m.in. Piotr Kraśko, który po latach wbił medialny nóż w plecy JP2 i Stanisława Dziwisza. 1 kwietnia 2005 r. tenże Dziwisz dzwonił do red. Kraśki, by poinformować go, że papież nie jest w śpiączce, jak podają światowe media. „Trzymam Ojca Świętego za rękę i oglądamy wasz program. On jest przy-

tomny” – sprzedał mu najgorętszego wówczas newsa przez telefon, a ta świnią się potem tak odwdzięczyła. Dzięki tym – świętym, jak widać – kontaktom, Piotr Kraśko mógł w 2020 r. zaprosić do TVN niczego niepodważającego Dziwisza, by przemaglować go na okoliczność wiedzy JP2 na temat pedofilii kleru i zrobić z niego pośmiewisko na całą Polskę. Tak to jest, gdy się ufa medialnym gwiazdom.

Co tam Kraśko, sam Watykan jakby zapomniał, kto był papieżem do 2005 r. Trudno nie spostrzec, że niemalże 30-letni pontyfikat JP2 dał się we znaki kurii rzymskiej i Kościołowi kat., przy czym narodowość odgrywa tu niepoślednią rolę. Wojtyła, jak to Polak, chciał urządzić wszystko po swojemu, a że czasu miał sporo, to trochę mu się udało. Przede wszystkim wprowadził na ważne urzędy swoich ziomków, a ci już robili robotę, której od nich oczekiwali: chronili Kościół przed wszelkim postępem, nawet tym zapoczątkowanym wewnątrz instytucji, znanym jako sobór watykański II. Czystki po Wojtyśle rozpoczął Benedykt XVI, a dokończył Franciszek. Jeśli pozostały dziś w Watykanie jakieś złogi po JP2, to nie mają one realnego przełożenia na politykę kościelną. Papież Polak miał taką rękę do ludzi, że mianowani przez niego członkowie episkopatu są dziś karani za ukrywanie przestępstw seksualnych, a in gremio odpowiedzialni za to, że przez te 20 lat po jego śmierci pies z kulawą nogą nie zagląda do kościoła. Bierni, mierni, ale wierni są dziś w większości w wieku emerytalnym i z rozrzewnieniem wspominają świątynie pękające w szwach i pełne seminaria, których napędem były papieskie pielgrzymki i entuzjazm przybywających na nie tłumów. Nie żeby to nas martwiło, ale jak na proroka to Karol Wojtyła podejmował mało przewidujące decyzje.

Zapomniany

20 lat po największej stracie w życiu pamięć o swoim szefie i mentorze próbuje oczywiście wskrzesić wspomniany już Dziwisz. Franciszek olałby zapewne tę rocznicę, bo ma swoje problemy, ale „wdowa po papieżu” wymogła na urzędującym szefie Kościoła kilka okrągłych zdań o poprzedniku. W liście, a w zasadzie w odpowiedzi Dziwiszowi na jego list, papież Bergoglio napisał: „Ciesz się mnie to, jak postanowiliście uczcić 20. rocznicę jego śmierci. Zapewniam Was o mojej duchowej łączności”. I nara! Żadnego eseju o wielkiej spuściźnie i nieustannej aktualności nauczania Lolka z Wadowic, na które z lubością i nałogowo powołują się nadwiślańscy biskupi i księża. Nic o jego wiel-

kim wkładzie w katolicką filozofię, teologię, poezję i dramaty, o którym nad Wisłą powstają doktoraty. Ani słowa wreszcie o jego niezłomnej postawie politycznej czy niestrudzonego pielgrzymowaniu, które u nas maglowane są do porzygu. Zabrakło nawet wzmianki, że kochał sport i góry! Obecnie panujący przywódca katolicyzmu najwyraźniej niespecjalnie sobie ceni dziedzictwo JP2, ale to przecież niejedynie miejsce, w którym rozjeżdża się z polską hierarchią. Franciszkowi, który stawia na rozpatrywanie każdej sytuacji z osobna, nie może być po drodze z gościem, który na przykład – stanowczo zabraniając używania prezerwatyw – przyczynił się do epidemii AIDS w Afryce.

Lakoniczna odpowiedź Franciszka na dziwiszowe skamlenie o uwagę jest ostatecznym potwierdzeniem, że centrala Kościoła uważa, że nie bardzo jest kogo wspominać. Skoro sam Dziwisz „nie wie, nie pamięta”, to co się dziwi Franciszkowi.

Policzek ojcu świętemu i jego fanom wymierzono w Toronto, gdzie władze lokalne zabroniły wywieszenia flag watykańskich na urzędzie miasta, bo nowe przepisy stanowią, że nie można wywieszać flag krajów z oficjalnie przyjętą religią państwową. U nas póki co to nie grozi, ale polskie obchody 20-lecia bez papy także nie zapowiadają się zbyt okazale. Tu i ówdzie koncerty, marsze, konferencje „naukowe” międlące kolejny aspekt i tak już wyeksploatowanej do cna twórczości Wojtyły. Msze, na które przyjdą ksiądz, kościelny i gospoia. Na tym tle najciekawiej zapowiada się pływanie dla papieża w Rzeszowie z minutą ciszy o kultowej godzinie 21.37. Pod tytułem godziny śmierci papieża wchodzi do kin film opisujący tamte dni „narodowego jednoczenia”, które skończyło się jak zawsze. Sukcesu frekwencyjnego filmu nie przewidujemy, chyba że młodzież pójdzie z przekory.

Mem

Mimo (a może dzięki) panującej w mediach po śmierci papieża dewocyjnej hysterii sen o potęgę legendy JP2 się nie zścił. Wtykanie go wszędzie na siłę wywołało efekt odwrotny, zwłaszcza wśród młodzieży. Ponieważ internet stawał się coraz powszechniejszy, a raczkujące media społecznościowe pozwalały na dzielenie się treściami, których stare, konserwatywne media nie odważyłyby się pokazać, Wojtyła – zamiast ikoną – stał się memem. Sam zapewne nie wiedział, co to znaczy, mimo że w nadawaniu mu tytułów lizusy były wyjątkowo kreatywne. Choć wśród jego wyznawców panuje przekonanie, że Jan Paweł II to była chodząca skromność i nie lubił całej tej pompki, fakty temu przeczą. Przypisuje mu się wprawdzie polecenie: „nie budujcie mi pomników. Zróbcie coś dobrego dla ludzi”, ale nigdzie nie można znaleźć źródła tego cytatu. Ławo natomiast dotrzeć do informacji, że pierwszy z niemal tysiąca pomników w Polsce przedstawiających Wojtyłę przywiózł do kraju... sam Wojtyła w 1979 r. i подарował archidiecezji krakowskiej. Dostał go od włoskich artystów. O popularności memicznej na pewno jednak nie marzył, a tę właśnie dostał od swoich młodych rodaków. Lepšie to niż obojętność, która powoli przejmuje inicjatywę w kwestii papieskiej.

Ostatnie podrygi popularności JP2 to końcówka rządów PiS, kiedy drużyna Kaczyńskiego rozpaczliwie szukała sposobu na zmobilizowanie swojego elektoratu, a papież – uważał – nadaje się do tego jak uł. W ramach ogólnonarodowej debaty, czy papież wiedział o pedofilii, czy nie, pisowcy przystąpili do agresywnej obrony dobrego imienia ojca świętego, szarganego przez lewackie media. Dołożyli do tego swoje trzy grosze, wydając numer z okładką, na której widniał Wojtyła opierający się o pastorał, do którego przybita była lalka. Obajtek osobiście wycofał nas z dystrybucji na Orlenie, autorytety moralne i medialne debatowały zaś nad granicami wolności słowa. Pisowcy uchwałą zadekretowali wielkość i świętość papieża, w sejmie paradowali z jego portretami. A potem przegrali wybory.

Dla prawicowych łajdaków Wojtyła jest często ostatnią deską ratunku na równi z trójcą: Bóg, honor, ojczyzna. Weźmy choćby takiego Mejsę i jego paradowanie w płaszczu „rycerza Jana Pawła II” i z różańcem w łapie. Tacy jak on to jedyne „pokolenie JP2”, jakie się ostało. I jedyne, na które zmarły 20 lat temu papież zasłużył po tym, co odjaniepapwił w czasie swojego pontyfikatu.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com





Stosunek instrumentalny

Mały, ale łajdak

Barbara Skrzypek, czyli Pani Basia, rozsławiona serialem komediowym „Ucho prezesa” sekretarka Kaczyńskiego, nie żyje. Trzy dni po przesłuchaniu, w które wrobił ją swoimi ordynarnymi machlojkami Jarosław Kaczyński, dostała zawału i zmarła. Gdyby nie bezczelna odmowa zapłaty za wykonane prace projektowe dwóch wież i jeszcze bardziej chamskie żądanie łapówki dla księdza, nikt by Barbary Skrzypek po prokuraturach nie ciągał.

Tymczasem o śmierć tę stary kanciarz obwinia bynajmniej nie siebie (gdzieżby tam!), lecz prok. Ewę Wrzosek. Wini ją, wini cały rząd, jakby miał choć cień poszlaki, że doszło w czasie przesłuchania do tortur psychicznych, które doprowadziły jego rzekomą przyjaciółkę do zawału. Gdy zaś upubliczniono protokół z przesłuchania, które okazało się wręcz kurtuazyjną rozmową, rzucił wobec prok. Ewy Wrzosek kolejne oszczerstwo, a mianowicie, że protokół został sfałszowany. Cóż, najwidoczniej nie bardzo mu się spodobało to, co zeznała Barbara Skrzypek.

Na sprawie dwóch wież Kaczyński się przejeździe. A w dodatku nie uda mu się uczynić ze swojej sekretarki „męczenniczki Tuska”. Za dużo już tych męczenników i nazbyt to groteskowe, nawet jak na elektorat PiS.

Za to będzie musiał dodatkowo zapłacić wysoką cenę za pomawianie prokuratury. Najpewniej czekają go ciężkie czasy – procesy, przesłuchania, wyroki. I choć odpowie jedynie za jakąś małą część swoich łajdactw, a do więzienia – z powodu wieku – nie pójdzie, to jednak mamy przynajmniej tę satysfakcję, że zaczyna się smutny koniec tego niedowarzonego i żalosnego dyktatora, który z paranoi, cynizmu i oszczerstwa uczynił sobie sposób na leczenie kompleksów i frustracji, a ofiarą swojej zemsty za nieudane życie uczynił Polskę.

Barbara Skrzypek została – jak to się mówi – wykorzystana. Wykorzystana politycznie. Jej śmierć ma bowiem stać się paliwem wyborczym kandydata PiS w wyborach prezydenckich. Marne i ułomne słówko to „wykorzystywanie”, bo nie dość, że korzystanie (w odróżnieniu od wyzyskiwania) generalnie nie jest czynem nagannym, to w dodatku w trzeciej osobie czasu przeszłego czasownik „wykorzystywał” kojarzy się z napastowaniem seksualnym. A tego akurat Kaczyński nie robi. Za to całość jego relacji z ludźmi do tego się sprowadza: wykorzystać. Oczywiście nie w znaczeniu pozytywnym, lecz

negatywnym, czyli w znaczeniu „wyzyskać”, „nadużyć”. Niestety, język polski nie zniósłby bardziej precyzyjnego określenia: „wyzyskał Barbarę Skrzypek”. Musimy więc pogodzić się z uzusem i powtórzyć: Kaczyński haniebnie wykorzystał swoją sekretarkę. I to po jej śmierci, z którą, delikatnie mówiąc, „jest powiązany”.

Bo gdy chodzi o interes polityczny, to jak pokazał to dowodnie pisowski taniec na grobach ofiar katastrofy smoleńskiej, nie może być żadnych skrupułów ani zahamowań. Do cna trzeba wykorzystać żywego, a jeśli tylko się da, to i po śmierci. Mam nadzieję, że p. Skrzypek w ostatnich dniach życia wreszcie przejrzała na oczy i zobaczyła, z kim miała przez tyle lat do czynienia. Musiała poznać dowody związane ze sprawą dwóch wież, musiała znosić instruowanie ją, co ma mówić, a czego nie mówić. Kaczyński, jej guru, być może spadał na jej oczach z piedestału i rozpadł się na kawałki u jej stóp. Nie wiemy, czy tak było rzeczywiście, ale możemy to uznać za prawdopodobne. Czy Kaczyński poczuł w związku z tym wyrzuty sumienia? To z kolei jest psychologicznie nieprawdopodobne. Pierwsze wyrzuty sumienia po siedemdziesiątce to jak inicjacja seksualna w tym wieku: możliwe, ale niewyobrażalne.

Pomyśleć, że są wokół nas ludzie tak zapiekli w cynizmie i tak zaprzędani złu, że nie ich nie powstrzymuje – ani wstyd, ani honor. Wykorzystać do cna, wyssać szpik z każdej kości, a ze skóry zrobić abażur. Nie ma chyba granic, których nie są zdolni przekroczyć ludzie mający instrumentalny, „używający” stosunek do innych. Gdy widzą dla siebie korzyść, nie odpuszczają nawet po śmierci. Po gardłach bliźnich i po ich trupach – byle do celu.

O ludziach pozbawionych wstydu trudno by było nawet powiedzieć, że są głęboko zdemoralizowani. To jest coś innego. Bo ktoś, kto jest zdemoralizowany, wcześniej musiał być lepszy, a potem z jakiegoś powodu się zepsuć. Ale bezwstydnik wykorzystujący ludzkie nieszczęście i niezdolny uszanować nawet śmierci, zapewne nie miał okazji się zepsuć – zawsze stał jakby z boku świata moralnego, nie czując i nie rozumiejąc, o co w nim w ogóle chodzi. Co to za „gra”, w której „wygrywa się” najczęściej akurat wtedy, gdy rezygnuje się z własnych korzyści? Co to za sprawiedliwość, w której nie wolno sięgnąć po korzyść znajdującą się w zasięgu ręki? Dla urodzonego amoralisty są to rzeczy absurdalne i niepojęte. Skoro więc Barbara Skrzypek nie żyje, to co za różnica, że wykorzysta się jej śmierć w kampanii wyborczej? Jej już przecież wszystko jedno, czyż nie?

Jaka szkoda, że dziwnym trafem organiczni łajdacy, urodzeni do wykorzystywania innych, na swoim amoralizmie najczęściej całkiem nieźle wychodzą. I nawet jeśli Jarosław Kaczyński na stare lata poniesie jakąś karę, to jednak jest już za późno – karierę amoralisty zrobił i skonsumował. I nikt mu już tego nie odbierze. A swoich win i tak już nigdy nie zrozumie. Co najwyżej uzna się za ofiarę prześladowań i męczennika, a tysiące wiernych wyznawców będą go w tym przekonaniu utwierdzać aż po grób.

JAN HARTMAN

Żołnierka

Czy zawsze tam, gdzie zaczyna się wojsko, musi się kończyć logika?

Budżet MON to w tym roku 123,5 mld zł. W przyszłym będzie jeszcze więcej. Kasę tę trzeba więc na coś wydawać. I pewnie tylko dlatego Tusk wymyślił szkolenie wojskowe dla obywateli pomiędzy 18. a 60. rokiem życia. Powszechne, ale dobrowolne. Do 2027 r. wojsko ma zatem mieć możliwość przeszkolenia w ciągu kilku dni 100 tys. ochotników rocznie. Choć władza mówi też o szkoleniach miesięcznych, za które ma płacić 6 tys. zł brutto. Zapomnieli, że takie szkolenia wojskowe są już od paru lat. A rocznie zalicza je 35 tys. osób.

Kucharz poborowy

Wystarczy mieć ukończony 18. rok życia i zarejestrować się na portalu wojska. Trzeba wskazać uprawnienia lub kwalifikacje, które chce się nabyć. Czyli na przykład: prawo jazdy w kategoriach od C do D, uprawnienia operatora sprzętu do robót ziemnych i urządzeń pokrewnych, operatora maszyn i urządzeń dźwigowo-transportowych, kucharza, spawacza czy nurka. Więc nie dość, że za nader przydatne kursy się nie płaci, to na dodatek za udział w nich należy się kaska. Fajnie, tylko czy aby armia spawaczy, kucharzy i kierowców spychacza damy skuteczny odpór choćby Łukaszenko?

Oczywiście wojskowej logistyce te umiejętności są potrzebne, ale fachowców w tych specjalnościach kształcą szkoły zawodowe. Może zatem, zamiast wydawać niepotrzebnie mnóstwo kasy na religię w szkołach, wprowadzić stare dobre przysposobienie obronne? Dzięki kilkudziesięciu lekcjom z tego zakresu spawacze czy kucharze dowiedzą się o obronności znacznie więcej niż na miesięcznych kursach zawodowych.

Tusk opowiadał, że członkowie rządu i ich urzędnicy także przejdą przeszkolenie. Pewnie takie trzydniowe, o którego sensowności wojskowi nie mówią głośno tylko z racji szacunku do Rzeczypospolitej. Po cichu drą z pomysłu łacha i proponują, miast wygłupów propagandowych, wrócić do trzech lat nauki przysposobienia obronnego w szkołach średnich. Wojsko powinno szkoły wyposażyć w atrapy broni i wyszkolić nauczycieli. A nawet zorganizować

ćwiczenia strzeleckie na strzelniczy wojskowej. Młodzież nauczyłaby się zachowań w czasie ataku wroga, pierwszej pomocy i innych przydatnych rzeczy. Ale resort ministrowi Nowackiej ma widać ważniejsze sprawy.

Wojskowi twierdzą więc, że najnowszy pomysł szkoleń pięknie wpisuje się w istniejące idiotyzmy związane z MON. Najgłupszym i najdroższym z nich jest coroczne kwalifikowanie młodych ludzi do wojska, do którego przecież nie pójdą.

Ostatni pobór do wojska odbył się w 2008 r. Później poborów nie było, bo sejm zawiesił obowiązek służby wojskowej i polska armia stała się zawodowa.

Komisje poborowe jednak zostały. Ich nazwę przemianowano jedynie na kwalifikacyjne. Stąd wszyscy młodzieńcy, którzy w danym roku kalendarzowym kończą 18 lat, są w urzędach gmin ewidencjonowani. Rejestracja odbywa się bez ich wiedzy i udziału. Skutkuje zaś tym, że 19-latkowie muszą stawić się do kwalifikacji wojskowej. Tylko po to, żeby dostać automatyczne przeniesienie do rezerwy.

Za odmowę stawiennictwa bez uzasadnionej przyczyny grozi kara grzywny lub ograniczenia wolności. Możliwe jest też przymusowe doprowadzenie przez policję.

Po kwalifikacji wszystkie dane młodych ludzi trafiają do archiwów Wojskowych Komend Uzupełnień i oczywiście nigdy nie będą nikomu do

Wojna pańć i pańciów pod flagą biało-czerwoną

Jestem kaleką, ale i tak myślę, czy nie spierdalać.

Kiedy rząd pierwszego Tuska zawieszał pobór, byłem pierwszym rocznikiem, który szedł na komisję wojskową bez strachu, że zostanie skazany na czołganie się w błocie, bieganie, czyszczenie kibli szczoteczką do zębów, kręcenie wrota i inne jakże konieczne przyjemności służące stworzeniu dobrego żołnierza. Już wówczas byłem jednak zapobiegliwy i wystarałem się o kategorię D – na wypadek, gdyby miłościwie nam rządzącym przyszło do głowy ów pobór odwieścić.

Moja przygoda z wojskiem była więc jednoznaczna. Ograniczyła się do komisyjnego zważenia, zmierzenia i oględzin fiuta popartych pytaniem „czy skóra się rusza?” – widocznie problem stulejki jest w armii problemem ważnym – oraz przejrzenia dokumentów, bo to one ostatecznie decydują, czy mamy do czynienia z symulantem. Sam brak nogi nie wystarczy.

Dziś to bez znaczenia, bo jestem kaleką, czyli osobą z niepełnosprawnością. Nikt mnie więc do wojska nie pośle, nawet w razie wybuchu konfliktu zbrojnego. Choć nie takie pomyłki się przecież w naszej Ojczyźnie zdarzają.

Z badań i sondaży wynika, że blisko połowa Polaków jest za przywróceniem obowiązkowego

poboru. Nieco więcej jest zwolenników niż zwolenników, największe poparcie kręcenie wrota ma zaś wśród osób starszych, bo akurat ich to nie dotyczy. Zgodnie z tą tradycją dopierdalania bliźniemu powinienem powszechny pobór popierać. Coś mnie jednak wstrzymuje.

Komentatorzy twierdzą, że dyskusja o poborze jeszcze przed nami. Na pewno nie może się ona odbyć przed wyborami. Donald Tusk, proponując ludności szkolenia wojskowe, na razie nieobowiązkowe (nie było to jasne na początku), ustawił wszystkich w blokach startowych. Bo jest to w istocie rozmowa o tym, kto ma zginąć na wojnie, którą nam szykują.

Jak zauważyła Patrycja Wierczkiewicz z „Krytyki Politycznej”, większość głosów przeciw poborowi pochodzi ze skrajnej prawicy, od wyborców Konfederacji, w sporej mierze młodych mężczyzn. „Po lewej” – pisze – „więcej jest głosów za obowiązkowymi szkoleniami dla wszystkich, bez względu na płeć, z możliwością wyboru obrony cywilnej (...) Dyskusja o przymusie toczy się na lewicy, również w kontekście poboru, pojawiają się różne stanowiska – ale gotowości do walki z f*szystami nie brakuje. Większość osób w moim najbliższym otoczeniu nie zamierza opuszczać kraju w przypadku wojny”. Na końcu red. Wierczkiewicz dowcipkuje: „Czy-

pełna jaj

niczego potrzebne. Po co wojsku informacje o osobach, z którymi armia nigdy nie będzie miała nic wspólnego? Bo nie będzie. Nawet w wypadku ogłoszenia mobilizacji nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie wzywał do jednostek ludzi, którzy w życiu nie mieli na sobie munduru, a w rękę karabinu.

Po co wojsku informacje o wieku i adresie? Przecież to jest w bazie PESEL, z której armia korzysta, wysyłając zaproszenia na komisję. Foty też tam są.

Po co młodym facetom, którzy mają wojsko gdzieś, książeczka wojskowa? Bo trzeba dać zarobić firmie, która ją drukuje? Kwalifikacja wojskowa to bzdura, na którą idą miliony złotych i która służy jedynie temu, by wojskowi na etatach w WKU mogli udowodniać, że coś robią.

Nieakceptowalne prącie

Od 25 marca 2024 r. obowiązuje najnowsza wersja rozporządzenia z wykazem chorób i ułomności stosowanym w celu orzekania o przydatności do obrony ojczyzny. Może więc zanim któryś z ministrów lub któraś z minister pobiegnie się zapisać na kurs snajpera, pilota F-35 czy operatora HIMARS-a, warto by sprawdzić, czy stan zdrowia pozwala takiej osobie porwać się na takie wyzwanie.

Bo „transseksualizm i obojtność” służbę wojskową skutecznie uniemożliwiają. Czyli udział w szkoleniu wojskowym również. Ale „odwrotne położenie trzewi bez zaburzeń sprawności ustroju” w zostaniu wojakiem nie przeszkadza. Tak jak i „tatuaze, tunele w uszach, piercing”. Pod warunkiem jednak, że „osoby ubiegające się o powołanie do zawodowej służby wojskowej posiadające tatuaze wyrażające treści powszechnie przednie szyi (ograniczonej od góry podbródkiem i od boków linią mięśni mostkowo-obojczykowo-sutkowy) należy kwalifikować jako niezdolne. Osoby posiadające tatuaze wyrażające treści powszechnie uznawane za nieakceptowalne wymagają konsultacji psychologicznej i psychiatrycznej”.

Nie przejdzie komisji wojskowej osoba, która ma „obce ciała w mózgu”. Tak jak i ktoś charakteryzujący się „całkowitą ślepotą lub brakiem obu

gałek ocznych”. Ale za to ojczyzna będzie mógł bronić obywatel, u którego występuje „nieznaczny odczapłask przy skierowaniu gałek ocznych w bok”. W rozporządzeniu stoi bowiem: „w przypadku stwierdzenia odczapłasku fizjologicznego kwalifikować jako zdolnego”.

Oczywiście „obustronna głuchota i głuchoniemota” też eliminują z wojska. A „znieskształcenie języka nieupośledzające mowy lub polykania” pozwala wstąpić w szeregi. Tak jak „braki i wady uzębienia, w tym również zębów przednich, z utratą zdolności żucia do 67 proc.”. Trzeba jednak pamie-

tać, iż „całkowity brak zębów jednej szczęki stanowi 100 proc. utraty zdolności żucia nawet przy zachowaniu wszystkich zębów drugiej szczęki”.

„Ograniczenie rozwierania szczęk (odległość między górnymi a dolnymi siekaczami poniżej 2 cm)” też każe zapomnieć o mundurze. Tak jak i „zanikowy cuchnący nieżyty błony śluzowej nosa (ozena)”. Za to armia z radością przyjmie kogoś, kto ma „wady wymowy nieupośledzające lub nieznacznie upośledzające zdolność porozumiewania się”. No i tych, co mają „zębra nadliczbowe szyjne” – również. Ale jeśli kandydat ma „garb”, to żołnierzem nie zostanie.

W obronie ojczyzny nie przeszkadzają nikomu: „nadreaktywność oskrzeli”, „pojedyncze zwapnienia lub niewielkie zwiłknienia po przebytych procesach gruźliczych” czy „ubytki miąższu płucnego nieupośledzające sprawności wentylacyjnej płuc”. Ba, „choroby mięśnia sercowego lub zaburzenia rytmu nawracające albo trwałe nieupośledzające sprawności ustroju” oraz „izolowane wypadanie płatków zastawki dwudzielnej (trójdzielnej) serca niepowodujące zaburzeń sprawności ustroju” też nie są dyskwalifikacją dla przyszłego bohatera. Tak samo jak „choroba hemoroidalna I stopnia lub II stopnia”.

Ale „marskość wątroby” każe o wojsku zapomnieć. Przynajmniej na etapie załapywania się w kamasze, bo gdy ma się wiele gwiazdek i belek, to nie przeszkadza zupełnie.

Do niczego związanego z obronnością nie predestynuje też „wycinicowanie i wypadanie słuzówki odbytnicy” czy „nietrzymanie moczu”, a nawet „znieskształcenie prącia znacznego stopnia”.

Kuternoga jądrowy

Udział w szkoleniu uniemożliwi również „brak prącia”, co zdawać by się mogło, eliminuje ze startu po wojskowe kwalifikacje kobiety pracy nieposiadające. Brak odnośnika w tej sprawie jest dla rozporządzenia dziwny, bo gdy mowa o „braku kończyny”, to akt prawny dodaje, że „osoby z amputacjami wielokończynowymi, amputacjami dotyczącymi kończyny górnej dominującej oraz amputacjami

z wyluszczeniem w stawie biodrowym należy kwalifikować jako niezdolne”. Dlaczego zatem w przypadku braku penisa nie ma dopisku, że nie dotyczy kobiet? No i dlaczego nie ma w rozporządzeniu nic o tym, że brak jajników uniemożliwia zostanie żołnierką. Bo „brak lub zanik obu jąder” kandydata na żołnierza dyskwalifikuje. Ale tego z „brakiem lub zanikiem jednego jądra” – już nie.

Swoją drogą, dlaczego facet bez jąder lub penisa nie może walczyć za ojczyznę, a ludzie, u których „brak jednego palucha lub innych palców stóp z zachowaniem główek kości śródstopia nieznacznie upośledzające chodzenie” – mogą? Jak i ci, którym „brak czwartego lub piątego palca ręki prawej lub brak jednego dowolnego palca ręki lewej z wyjątkiem kciuka”. Brak fiutka przeszkadza w celowaniu, strzelaniu czy może sterowaniu dronem? A posiadanie „wodniaków jądra, powrózka nasiennego lub torbieli najądrza nieupośledzających czynności narządu” i „przerost gruczołu krokowego bez zaburzeń w oddawaniu moczu” sprawiają, że wartość bojowa posiadających te przysady obywateli rośnie?

„Zakażenie wirusem HIV” do wojska nie dopuszcza. Ale „skrócenie kończyny dolnej od 1 cm do 2 cm” i „zrośnięcie palców rąk lub palce nadliczbowe bez upośledzenia chwytu” dla komisji wojskowej są nieważne.

Za to gdy pojawi się kobieta, która ma „zaburzenia cyklu miesięczkowego ze zmianami przerostowymi w narządzie rodnym”, czyli nader często spotykaną u pań endometriozę, to komisja winna ją pogonić. Ale nie pogoni, bo żeby to zdiagnozować, trzeba sprzętu ginekologicznego. Tak samo z wykryciem zabraniającego zostać żołnierką „obniżenia ścian pochwy z wytworzeniem zachyłka pęcherzowo-pochwowego, odbytniczko-pochwowego z całkowitym nietrzymaniem moczu lub zaburzeniami czynności zwieracza odbytu”. No i również eliminujące z wojska zjawiska o nazwie „cięża”.

O wiele łatwiej komisji lekarskiej zdyskwalifikować kandydatkę ze względu na „całkowite wypadanie narządu rodnego” czy przyjąć mimo „zastarzałego pęknięcia lub blizny kroczu nieupośledzającego sprawności ustroju”. Wystarczy, że szanowna komisja każe chcące się szkolić ministrze stanąć w rozkroku i opuścić majtki do kolan.

Jeszcze gorzej może mieć komisja lekarska, gdy przyjdzie jej zweryfikować jakiegoś urzędnika na okoliczność eliminującej z wojska „sprawności umysłowej poniżej przeciętnej”. Nie wspominając już o tym, co zrobić z sekretarzem stanu, mającym – eliminujący ze służby dla Rzeczypospolitej – „pozytywny wynik badania na obecność substancji odurzających lub psychotropowych”.

Niekonsultowane z generałami, proponowane przez Tuska szkolenia pospolitego ruszenia mają wystartować za kilka miesięcy. Jest więc czas na – nieeliminujące z bycia żołnierzem – puknięcie się w głowę.

TADEUSZ JASIŃSKI

li co, jednak będą nas bronić chłopaki w kolorowych rurkach i feministki? Chciałabym to zobaczyć”.

Na szczęście to tylko gadanie. Na razie ani młodzi prawicowcy nie muszą uciekać, ani pani Patrycja nie musi nas bronić. Choć w hełmie jej przecież do twarzy.

Mam problem z takimi deklaracjami. Przede wszystkim dlatego, że żyjemy w czasach – że tak to ujmę – nieortodoksyjnego przywiązania do swoich obietnic, a wyrażane poglądy służą tzw. sygnalizowaniu cnoty, czyli autoreklamie. Po drugie, sam nie wiem, czy w razie wojny nie spierdole.

Każdy ma przecież swoją Polskę. A ja

jestem skromnym działaczem społecznym z miasta Łodzi, walczącym o prawa lokatorów i osób w kryzysie bezdomności. Do pozostania w kraju skłania mnie jedynie lojalność wobec tych osób, a nie trzepot flagi i wierzb płacząca.

Na pewno też nie rządy miłościwie nam panującej klasy politycznej jako wykonawców tej czy innej klikki bogaczy. A to ci ostatni mają o co walczyć i po co zostawać. Powodzenia!

DAMIAN DUSZCZENKO



ILUSTRACJA: PAVEL FERENC

PS A jak już chcecie zostać, to nie dajcie się historii wojennej, jak partia Razem, która ustami posłanki Marty Stożek rzekła na X (po staropolsku: na Twitterze): „Mocarstwa: USA, Rosja, Chiny nigdy nie podpisały traktatu ottawskiego. Przez lata, gdy mniejsze państwa podejmowały wysiłki wyłączenia min z użytkowania i pozbywały się tej broni, mocarstwa budowały ich zapasy. Jako Razem stawiamy dobro człowieka i ludności cywilnej jako swój cel. Zawsze będziemy bronić praw słabych przeciwko silnym, choćby to były najtrudniejsze decyzje”.

Tę najtrudniejszą decyzję to poparcie dla wypowiedzenia rzeczowej konwencji o minach przeciwpiechotnych urywających nogi przede wszystkim cywilom. Choć rząd tego poparcia do niczego nie potrzebuje.

Jest w prawie wojennym takie pojęcie jak „środek niedyskryminujący”. Legalne użycie siły ma być „dyskryminujące”, to znaczy rozróżniać między uczestnikiem konfliktu a cywilem. Przykładowo rakietę można wycelować w cel wojskowy, a w cywilny – nie. A miny nie obchodzi, kto na nią nastąpi. Co prawda zwycięzców nikt nie sądzi, nie sądzi się też państw posiadających broń atomową. Ale w Hadze bywają i takie rozważania.

Rutyna w górę

Oskarżycielka piątki z Hajnówki awansowała na prokuratorkę

Asesorka Prokuratury Rejonowej w Hajnówce Magdalena Rutyna – zdeterminowana, aby zapuszczać piątkę wolontariuszy pomagających migrantom na granicy polsko-białoruskiej – dostała awans na pełnokrwistą panią prokurator.

W zeszłym tygodniu pisaliśmy o tym, że jej macierzysta prokuratura złożyła wniosek o wycofanie aktu oskarżenia w celu uzupełnienia dowodów. W tym samym czasie p. Rutyna – wraz z kilkudziesięcioma innymi osobami – spała słowa z ust Adama Bodnara.

– To jest nowy etap dla prokuratury i dla państwa indywidualnych kary – tokował podniósł prokurator generalny i minister sprawiedliwości w jednym w auli warszawskiej SGGW 15 marca.

Dowiedzieliśmy się o tym post factum, gdyż na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości informacja o tym wydarzeniu nie zawierała – jak to było za czasów Zbigniewa Ziobry – nazwisk nowych asesorów i prokuratorów. Co prawda wydawało nam się, że na niewyraźnych zdjęciach dostrzegamy niezłomną panią prokuratorkę, ale chcieliśmy mieć pewność. Już mamy.

– Adam Bodnar podpisał jej awans, mimo że w międzyczasie Rutyna poległa w konkursie na stanowisko prokuratora w Bielsku Podlaskim. Mógł to zrobić, bo Ziobrowa ustawa o prokuraturze dała mu takie uprawnienia

– twierdzi nasz rozmówca z resortu sprawiedliwości. Ten spadek po Ziobrystach swego czasu krytykował publicznie Dariusz Korneluk, szef Prokuratury Krajowej i pierwszy zastępca Bodnara, odgrzaając się, że wszystkie te pisowskie awanse, z pominięciem drogi konkursowej, zostaną dokładnie zweryfikowane. Oczywiście o tej obietnicy już dawno zapomniano, czego bezpośrednim przykładem jest przyspieszona kariera oskarżycielki z Hajnówki.

Druga rozprawa w tym głośnym procesie miała się odbyć w maju, na krótko przed wyborami prezydenckimi, ale odbędzie się w kwietniu. Jak się okazuje, sąd w Hajnówce – wydział zamiejscowy Sądu Rejonowego w Bielsku Podlaskim – pomny na zakorkowanie swojej siedziby podczas pierwszej rozprawy już dmucha na zimne. „Z uwagi na duże zainteresowanie przedstawicieli mediów i publiczności poprzednim terminem rozprawy rozprawa z dnia 15 kwietnia 2025 roku odbędzie się na terenie Sądu Rejonowego w Białymstoku przy ul. Mickiewicza 103 na sali nr IV (parter, lewy korytarz od wejścia głównego)” – czytamy na witrynie tejże instytucji.

Na kwietniowej rozprawie prokuratorka Rutyna będzie uzasadniała podpisany jeszcze przez asesorkę Rutynę wniosek o taktyczne wycofanie aktu oskarżenia. To ruletka, bo nie wiemy, jak na to zareaguje Adam Rodakowski, bardzo merytoryczny i wyjątkowo niezależny sędzia Sądu Rejonowego w Hajnówce. Za Ziobry nie raz i nie dwa uniewinnił chociażby aktywistów broniących Puszczy Białowieskiej przed całkowitym jej wyrżnięciem pod pretekstem rzekomego mnożenia się ponad stan jej wroga – kornika drukarza.

Rodakowski to były prokurator, więc wszystkie potencjalne sztuczki prokuratury w tej sprawie mogą nie zrobić na nim wrażenia. Poza tym, jak by to wyglądało, gdyby tak lekko zgodził się na wycofanie aktu oskarżenia, który stał się podstawą procesu przeciwko piątce – o rozpoczęciu którego sam przecież zdecydował? Znacząco, że nie przeczytał akt sprawy i dopuścił wadliwe, pozbawione ważnych dowodów oskarżenie na wokandę?

JMP

Makabra „dobrych uczynków”

Uprzedmiotowanie podmiotów

Nigdy nie kryłam się z tym, że żadna ze mnie entuzjastka aborcji, eutanazji, wojny, kary śmierci. Ruch antyaborcyjny tak skurwił pojęcie pro-life, że człowiek staje w paskach, kiedy ma oznajmić, że jest za życiem. A ja zawsze będę na życie stawiać. Z prostego powodu – śmierć życiem nie jest. Śmierć jest zaprzeczeniem życia. Ostatni akt życia to umieranie.

Mogę sobie wyobrazić własną aborcję lub pomoc w aborcji. Mogę sobie wyobrazić własną pomoc w godnym wysłaniu kogoś na tamten świat (ten, który nie istnieje). Mogę wyobrazić sobie, że strzelam komuś dwa razy w klatkę, raz w głowę. Jedno, czego nie mogę sobie wyobrazić, to udział w egzekucji po stronie egzekutorów. Wielka to zasługa Kieślowskiego i jego „Krótkiego filmu o zabijaniu”. Generalnie skoro mleko już się rozlało, to należy je sprzątnąć, a nie dolewać do niego krwi. Bo to jest trefne.



I jestem sobie w stanie wyobrazić, jak mnie rani kula. I jestem w stanie sobie wyobrazić, jak mnie zawieszają na pętli. I jestem w stanie sobie wyobrazić, jak mi się przez kaniulę sączy do żyły trucizna. Jednego, czego nie jestem w stanie sobie wyobrazić, to jak szarpie mnie łyżeczka aborcyjna. A to z prostej przyczyny – moje życie wymaga świadomości – nawet tej utajonej, zapominanej – kiedy śpię. Czasowych punktów odniesienia. Tyle ja, a jeszcze – podobno – mogę mieć własne zdanie. I jest to zdanie moje, a nie zdanie państwa, do którego przyniosł mnie bocian.

Pozbawianie własnego zdania to jedna z najgorszych rzeczy, jaka może się nam zdarzyć. I coś właśnie takiego przydarzyło się pani Anicie, pacjentce ginekologii i patologii ciąży w Centralnym Szpitalu Klinicznym Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. W dodatku kobieta miała być wprowadzana w błąd przez lekarzy na temat stanu swojej ciąży. A ciąża rozwijała się źle i pojawiły się ciężkie wady płodu. Kobieta zdecydowała się na aborcję, „chcąc oszczędzić Felkowi cierpienia”. Felkowi, czyli Feliksowi. Pani Anita nie bała się nawet dla oszczędzania własnych nerwów obdarzyć płodu podmiotowością. A przypomnijmy, że z punktu widzenia genetyki mamy tu do czynienia z podmiotem. Z tworem, którego genetyczna metryka nigdy już się nie powtórzy. Tak, zakurwia mnie nieludsko, jak ktoś porównuje aborcję do wyrwania zęba... Bo to brak szacunku dla człowieka, potencjalnego człowieka i nas, wszystkich ludzi do kupy. A jednocześnie znam badania psycholog dziecięcej Melanie Klein, która twier-

dziła, że matki traktują dzieci jako przedłużenie własnej osoby, i to co najmniej do ich trzeciego roku życia.

Czyli Feliks. Feliks nie ma szans na życie. Ma za to szansę na bolesne umieranie. W zasadzie ma to jak w banku, my wszyscy, duzi – niekoniecznie. Pani Anita wnioskuje o legalną ustawowo w jej przypadku (i przypadku Feliksa) aborcję. Podobno miała wcześniej taką propozycję, ale odmówiła. Nie jest nigdzie podane, ile tygodni wcześniej. „Lekarze stwierdzili przy tym, że »nie ma podstaw do przerwania ciąży poprzez indukcję asystolii u płodu«, czyli podanie zastrzyku zatrzymującego akcję serca, po którym następuje martwe urodzenie. Ciąża miała zakończyć się w formie cesarskiego cięcia, na co nie zgodziła się pacjentka” – informowało TVP Info 19 marca.

Cesarskie cięcie? Pierwszy oddech? Zimno? Oślepiające światło. Ból? Może i jeszcze chrzest?! Cięcie ciała matki, która i tak przecież, nawet w wypadku indukcji asystolii u płodu, musi Feliksa naturalnie urodzić... Bo chce, bo ma taką fantazję, bo za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Feliks z jej brzucha nie zniknie!

Czyli kobieta, matka informuje lekarzy, że porozmawiała z ojcem Feliksa i dokona późnej aborcji w innej placówce. A co robią lekarze? Lekarze pakują panią Anitę na oddział psychiatryczny do izolatki! A aktualnie przed jednym z łódzkich sądów toczy się postępowanie w sprawie przymusowego zamknięcia pani Anity na oddziale psychiatrycznym. Wiadomo, iż w papierach powinien być porządek!

Pani Anita w ciąży bądź pani Anita z Felkiem odgarowała (odgarowali) w izolacie trzy dni. Ona, kobieta – na pewno to zapamięta. Dalej jeszcze były kolejne badania i dwa konsylia. A kobieta ostatecznie usunęła ciążę nie w Łodzi, a w Oleśnicy. Zastosowano asystolię płodu. Felek był i go nie ma. Tak sobie myślę, że najlepiej dla lekarzy byłoby, gdyby kobieta, w chwili kiedy dowiedziała się, że nie może się wypisać na własne żądanie z psychuszki, po prostu zaczęła rodzić na oddziale diagnostyczno-obszernym. Ileż to kłopotów mnie! Ileż, choć może towarzystwo tknęłoby refleksja, że przez cały ten czas pani Anita byłaby pozbawiona swoich praw konstytucyjnych. Ubezłasnowolniona. Ba, w sytuacji gorszej od Feliksa, bo tego wyrolowała tzw. matka natura, a panią Anitę tzw. korona stworzenia, czyli ludzkie. W jednym przypadku mieliśmy do czynienia z genetyczną ruletką, w drugim ze świadomą decyzją, aby kogoś pozbawić podejmowania świadomych decyzji. No, bardzo nieładnie... Że bardzo nieładnie, uznawał nawet ministra zdrowia Izabela Leszczyna – zlecił kontrolę w Centralnym Szpitalu Klinicznym UM w Łodzi. Przeprowadzić ją mają NFZ i rzecznik praw pacjenta. Następnym razem, łódzkie dziewczyny, rodzici, dusić i ciała noworodków do beczek! Jak dawniej w tym mieście bywało.

IZABELA SZOLC

Kochajmy podatki, bo...

...bez podatków nie będzie wydatków.

Rzecz w tym, by te wydatki były mądre i służyły ogółowi społeczeństwa. Powojenna Europa, mniej więcej do połowy lat 70., to obraz najładniejszej twarzy kapitalizmu. Nigdy przedtem ani potem ta twarz nie była tak szczerze i prawdziwie uśmiechnięta do mieszkańca zachodniej Europy. Mimo zniszczeń wojennych oraz biedy w pierwszych latach po wojnie, welfare state – opiekuńcze państwo dobrobytu – było dla Europejczyków obietnicą pokoju i lepszego życia. Polska nie dołączyła jednak do świata Zachodu w latach 70., a dopiero w 90. – wtedy było już po ptakach. Wtedy Europa Zachodnia kroczyła już drogą turbokapitalizmu, a operacja transformacji ustrojowej przeprowadzona bez znieczulenia na polskim społeczeństwie nie pozwoliła nam zasmakować minionych już wtedy rozkoszy.

Celem państwa dobrobytu było zabezpieczenie obywateli przed podstawowym ryzykiem życiowym wynikającym ze: starości, choroby, niepełnosprawności czy bezrobocia. Stąd, jak opisuje to Wikipedia: „powszechny dostęp do państwowego szkolnictwa i opieki zdrowotnej, osłony socjalne w postaci ulg różnego rodzaju, zasiłki dla bezrobotnych, budownictwo komunalne, wyższe emerytury, renty itp.”. Ale nie zapomniano też o ważnych i koniecznych nakładach państwa na naukę, edukację i postęp techniczny. Ekonomia państw zachodniej Europy kwitła i rozwijała się w dużym tempie. Wydatki na stworzenie systemu usług publicznych i rozwojowych finansowane były wysokimi progresywnymi podatkami.

W latach 50. najwyższa krańcowa stawka podatkowa wynosiła nawet 91 proc. dochodu, a ogólnie obowiązujące podatki były wyższe niż teraz. Obecnie stosunkowo wysokie stawki podatku dochodowego płaci się nadal w Danii (55,9 proc.), Francji (55,4 proc.), Austrii (55 proc.) czy w Niemczech (47,5 proc.). To kraje, jak nietrudno zauważyć, o stosunkowo wysokim poziomie usług społecznych – pomoc społeczna, opieka zdrowotna itp. Na ostatnich pozycjach znajdują

się natomiast Węgry (15 proc.), Estonia (20 proc.) i Czechy (23 proc.). W Polsce maksymalna stawka podatku od osób fizycznych, wynosząca 36 proc. (wraz z czteroprocentową daniną solidarnościową) sytuuje nasz kraj na 21. miejscu w Europie. Ale trzeba pamiętać, że duże działające w Polsce firmy płacą podatek liniowy: tylko 19 proc.

Dziś straszą nas ciągle, że na porządne usługi publiczne nie ma pieniędzy. A przecież najbardziej potrzebujemy inwestycji właśnie w tym zakresie, żeby tu wymienić tylko: ochronę zdrowia, mieszkalnictwo, transport publiczny, rozwój nauk podstawowych, ekologiczną energię i cyfryzację usług publicznych. Jakość państwa powinniśmy mierzyć oceną działań w tym zakresie. Bo to one właśnie, a nie PKB, określają poziom naszego życia.

Ciągle słyszymy, że brakuje pieniędzy, a one przecież są – nawet w nadmiarze.

Tyle że nie w państwowej i publicznej kasie. To one tworzą szybko rosnące majątki oligarchów. Dlaczego tak jest? To proste: bo nie zostali odpowiednio opodatkowani.

Straszą nas także, że wysokie podatki dla najbogatszych spowodują niechęć biznesu do inwestowania. Ale w państwach utrzymujących wysokie podatki dochodowe nie brakuje inwestorów i działają tam wszystkie

Życie w dobrobycie

Na papierze inflacja w lutym spadła. Specjaliści sądzili, że wyniesie 5,3 proc., a wyniosła 4,9 proc. Najzabawniejsze, że specjaliści się nie pomylili. Inflację liczy GUS. Jemu zaś wyszło miesiąc wcześniej, że styczniowa inflacja to 5,3 proc. Jednak teraz doszli do wniosku, że w styczniu ceny poszły w górę o 4,9 proc. Co się stało? Ano po prostu GUS zmienił tzw. koszyk, na podstawie którego liczy, ile co drożeje. GUS nie podzielił się jednak informacją o zmianie z nikim, więc NBP, który robi prognozy na bazie tego, co o koszyku GUS wie, szacuje wzrosty cen o wiele wyżej i dzięki temu nie jest skłonny zmieniać stóp procentowych. Szef NBP Glapiński powiedział też, że żadne GUS-owskie, czyli rządowe, czary-mary statystyczne nic w polityce banku centralnego nie zmieniają, więc ci, co spłacają kredyty złotówkowe, będą wykrywawiali się na raty przez kolejne parę kwartałów.

W czasach PRL partyjna propaganda opowiadała, że wzrostu cen nie ma, bo co prawda cukier, chleb, mięso i masło podrożały, ale za to staniały lokomotywy i maszyny górnicze. Dzięki takiemu koszykowi w PRL przez wiele lat inflacji nie było. Wygląda na to, że dzisiejszy GUS podąża tą samą ścieżką. W nowym koszyku do zliczania inflacji – jak to ujęto w komunikacie – „poszerzono między innymi w zakresie obserwacji: żywności wegańskiej, usług medycznych, usług z zakresu wynajmu prywatnych środków transportu, sprzętu audiowizualnego, fotograficznego i informatycznego, gier i zabawek, sprzętu sportowego, usług związanych z rekreacją i sportem, gastronomią”. Hokus-pokus spowodowało więc, że w koszyku inflacyjnym spadł wyraźnie udział żywności. Widać statystykom wyszło, że Polacy się odchudzają. Ba, od Nowego Roku jedzą też mniej mięsa, masła i jaj. GUS poważnie obniżył też udział alkoholu w koszyku, no i fajek też. A na dodatek nie omieszkali dopisać, że w ciągu ostatnich pięciu lat udział napojów wysokokalorycznych w koszyku inflacyjnym spadł o ponad 20 proc. Co może wydawać się dziwne, bo przecież inne dane GUS mówią, że pijemy na łebka coraz więcej. To i tak nic, bo GUS-owi spadł też w koszyku udział wydatków na

energii, gaz i paliwo. Jeśli komuś wydaje się, że to wszystko zaczyna przypominać opowieści z czasów Gierka, to się nie myli. Bo według GUS w koszyku inflacyjnym Polaków wzrósł udział cen środków transportu. Znaczy to, że statystyczny Polak w tym roku więcej wydaje na samochody i oczywiście lokomotywy.



Glapiński statystycznym Polakiem ze wszech miar nie jest i dlatego on jako NBP kupuje całkiem coś innego. Konkretnie zaś złoto. „Dobiliśmy do 480 ton. Idziemy w kierunku 500 ton. Zbliżamy się do zasobów Europejskiego Banku Centralnego” – ogłosił więc radośnie prezes NBP. Na koniec lutego rezerwy NBP w złocie były warte 176,7 mld zł, czyli o 12,4 mld zł więcej niż miesiąc wcześniej. Przez 12 miesięcy wartość ta urosła o 83,4 mld zł. Ale tylko dlatego, że spekulanci pompują bankę na złocie. Jak bankę pęknie, to Glapiński zostanie z tonami kruszcu wartego nawet jedną piątą tego co dziś. Złoto bowiem od lat dla wszystkich poza Glapińskim nie jest lokatą, ale przedmiotem spekulacji.

Radości ze skarbów Glapińskiego nie czują chyba pracodawcy, bo zaczęło rosnąć zjawisko opóźniania i wstrzymywania wypłat dla pracowników. Tak wyszło Państwowej Inspekcji Pracy. W zeszłym roku jej inspektorzy interweniowali na rzecz 74 tys. osób, którym pracodawcy zalegali łącznie z ponad 270 mln zł wynagrodzeń. Znaczy dwukrotnie więcej niż w 2023 r., gdy było tego 135 mln zł. Zadawałoby to kłam informacjom, że teraz mamy rynek pra-

cownika, bo ludzi do roboty brakuje, więc pracodawcy chuchają i dmuchają na personele, byleby tylko go nie stracić. Prawdziwe za to okazują się dane „Barometru Polskiego Rynku Pracy”, z którego wynika, że jedna trzecia pracodawców obawia się pogorszenia koniunktury. Rok wcześniej pesymizm wyrażało 23 proc. firm, co pokazywałoby, że zamiast o pracownikach i działalności biznesowej wolą myśleć o sprzedaży firm i życiu z odsetek pod palmami.

Pracujący u nas takiej alternatywy nie mają, więc palma im wali. ZUS wyliczył, że w zeszłym roku Polki i Polacy spędzili na chorobowym 240 mln dni. Ale liczba dni absencji z tytułu zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania wyniosła 30,3 mln. 16,2 proc. więcej niż w 2023 r., kiedy było ich ledwie 26,1 mln. Psychiatrzy wystawili 1,6 mln zaświadczeń lekarskich, czyli o 13,8 proc. więcej niż rok wcześniej.

O ile jednak polscy pracownicy biegają ze skargami do PIP i leczą się psychiatrycznie, to Ukraińcy w Polsce dają sobie radę. Głównie dlatego, że są mobilni. Niemal jedna czwarta z nich zmieniła pracę w Polsce dwukrotnie, 22 proc. – trzykrotnie, a 9 proc. – aż czterokrotnie. Tylko 18 proc. nie zdecydowało się na zmianę roboty od momentu przyjazdu do naszego kraju. Pewnie dzięki

Zwijanie państwa

wielkie korporacje świata. Poziom i jakość usług społecznych w tych krajach jest także lepszy niż na wschodzie Europy.

Rozkręcający się od połowy lat 70. neo- czy turbokapitalizm doprowadził dziś do sytuacji, w której oligarchowie przejmują kontrolę nad państwami i już bez żenady ustanawiają dyktatorów albo sami się nimi stają, coraz mniej dbając o pozory demokracji. Koronnym przykładem jest władza Trumpa i jego ekipy w USA, ale przecież nie tylko tam. A jasne dla każdego jest, że ostatecznym celem każdego państwa i każdej polityki powinno być działanie na rzecz dobrostanu obywateli – wzrastające nierówności i władza oligarchów tego nie zapewnią.

Mądrzy ludzie od dawna mówią i udowadniają naukowo, że trzeba utemperować dochody bogaczy i wielkich korporacji – przywalić im progresywnymi podatkami.

Wicepremier Krzysztof Gawkowski, minister w stricte neoliberalnym rządzie Tuska, podjął się zadania opodatkowania dochodów globalnych platform cyfrowych. Działa w słusznym oburzeniu, że takie firmy podatków prawie lub wcale nie płacą. Na przykład Google zapłacił rok temu w Polsce tylko 49 mln zł podatku, a Facebook – niewiele ponad 10 mln zł. Zapał ministra Gawkowskiego został już schłodzony przez premiera Tuska, powątpiewającego publicznie, czy w ogóle Polska opodatkuje cyfrowych gigantów. Gawkowski podobno zamierza wprowadzić kilkuprocentowy podatek obrotowy, czyli podatek nakładany na przychody tych spółek. Nietrudno zgadnąć, że skutki finansowe takiego podatku będą znikome. Bo podstawowym problemem nie jest wysokość najwyższej stawki podatkowej ani sposób jej naliczania, ale fakt, że w wypadku globalnych przedsiębiorstw łatwo go w ogóle nie płacić. Bowiem każda podstawa naliczania podatku jest w stanie zniknąć lub radykalnie stopnieć w gąszczu powiązań międzynarodowych dużej spółki lub na końcu w którymś z podatkowych rajów.

No i tu na pomoc wzywamy bajkę – bez bajki z tym złodziejstwem sobie nie poradzimy.

W tej bajce dobry, dbający o swój lud bajkowy król, kładąc na stole odpowiednie ustawy, powiedział tak:

– Powiadam ci! Jeśli chcesz robić biznes w moim kraju, zarejestruj tu swoją firmę i tylko przez nią będziesz mógł prowadzić kontrolowane merytorycznie rozliczenia – żadnych sztuczek!

– Likwidujemy liniowy podatek dochodowy w dużym biznesie, wprowadzając progresywny CIT – tabela w załączeniu.

– Podnosimy podatek od zysków kapitałowych – nie może być niższy niż podatek od dochodów z pracy.

– Wprowadzamy podatek spadkowy i od darowizn prywatnych od majątku większego niż milion talarów oraz podatek od komercyjnych i luksusowych pałaców.

Przychody z tego tytułu przeznaczam na rozwój nauki i edukacji, ochronę zdrowia, publiczny transport, rozwiązania ekologiczne i inne ważne cele społeczne. Tak ma być i basta!

ANNA GRODZKA

● Niestety dla sieci restauracji wegańskich Krowarzywa Ukraińcy nie są jarośli. Bo gdyby byli, to może uratowaliby właścicieli sieci przed plajtą. Krowarzywa zadebiutowała w marcu 2013 r., zyskała popularność dzięki wegańskim burgerom oferowanym jako jedno z pierwszych w Polsce. Z czasem Krowarzywa zbudowała największą sieć gastronomiczną skupioną na kuchni roślinnej. Trzy lata temu miała 22 lokale w 10 największych polskich miastach.

Skończyło się tak, że ostatni lokal przy ul. Chmielnej w Warszawie przestał działać. Właściciele byłej sieci chodzą teraz po mediach, bo chcą choć sprzedać logo i nazwę firmy. Opowiadają więc: „w zeszłym roku sprzedaż zmniejszyła się o połowę. Może zainteresowanie kuchnią roślinną zmalało, a może wręcz przeciwnie. W pewnym sensie staliśmy się ofiarą własnego sukcesu”. Słowo sukces dowodzi albo dobrego humoru, albo tego, że z czasów prosperity w kieszeniach właścicieli zostało jeszcze dużo pieniędzy.

TTJ

Wciąż bronimy ludzi, których krzywdzi system. Kapitalizm polega na tym, że wszyscy chodzimy po linie. Jednak ktoś, kto z liny spada w Danii czy Niemczech, może liczyć na siatkę zabezpieczającą. Na pomoc państwa. W Polsce takiej siatki nie ma i jak spadamy, to na sam dół.

W pewnej małej miejscowości na Podkarpaciu nastąpił młody, niespełna 30-letni wójt. Podwyższył lokatorom mieszkań komunalnych czynsz o 160 proc. Tak że opłaty za mieszkanie dla ludzi starszych o niskich dochodach zrównały się z tymi dochodami. Pewna starsza pani, która poprosiła nas o pomoc, skarżyła się, że musi teraz płacić za mieszkanie dokładnie tyle, ile wynosi jej emerytura, czyli 2000 zł. Mieszkań komunalnych jest w tej gminie 20, a 18 lokatorów podpisało się pod listem protestacyjnym przeciwko tym podwyżkom. Żeby płacić czynsz, lokatorzy musieliby przeznaczyć na to całe swoje dochody. A zatem w dość krótkim czasie wszyscy będą zadłużeni i zostaną wyeksmiutowani. Wójt zapytany, co się stanie z tymi ludźmi – bo gmina nie ma mieszkań socjalnych, do których można by ich przenieść – odpowiedział, że go to absolutnie nie obchodzi. Dodał też, że kiedy mieszkania komunalne zostaną opróżnione, do czego wójt zmierza, to nie zamierza ich już wynajmować lokatorom. Jest to pierwsza w Polsce próba likwidacji zasobu mieszkaniowego gminy. To nie, że samorząd ma ustawowy obowiązek zaspokajania potrzeb mieszkaniowych ubogich mieszkańców. W liberalistycznym umyśle wójta pomoc mieszkaniowa się po prostu nie mieści.

Ten mini-Mentzen zlikwidował też szkołę, uzasadniając to tym, że szkoła nie przynosi zysków. Pomyśl, że każde przedsięwzięcie samorządu musi być zyskowne albo być zlikwidowane, pomyśl likwidacji sfery publicznej i prywatyzacji wszystkiego zaproponował jako pierwszy Janusz Korwin-Mikke. Nikt wtedy jego bajdurzenia nie traktował poważnie. Aż doczekaliśmy czasów, kiedy partia wyrosła z doktryny libertariańskiej zaczyna wcielać w życie doktrynę, która ma raz na zawsze skończyć z jakimkolwiek elementami państwa dobrobytu.

Kataklizm ten trafił na razie na biedną gminę nad Dunajcem. Ale wkrótce, gdy Konfederacja dojdzie do władzy, to będzie doktryna państwowa. Leczyć się mają ci, których stać na leczenie. Uczzyć się będą te dzieci, których rodziców stać na płacenie czesnego. Wreszcie domy i mieszkania mają być tylko prywatne. A ci, którzy nie mogą sobie na nie pozwolić, trafią na ulicę lub do przytułku, o ile lokalny krezw w geście miłosierdzia zechce taką placówkę otworzyć.

Polska już teraz jest skąpa dla biednych i bardzo szcudra dla bogatych. Ale władza libertarian z pewnością zlikwiduje wszelki transfer socjalny, a także minimalną stawkę godzinową, stwarzając w ten sposób bajeczne warunki

dla właścicieli firm, którzy będą mogli zatrudniać ludzi za naprawdę głodowe stawki. Spełni się hasło premiera Tuska, adresowane do miliarderów w gmachu giełdy: „Bogacie się!”.

Chciwość i wyzysk staną się fundamentem nowego „cudu gospodarczego”, który nastąpi dzięki umożliwieniu korzystania z niewolniczej siły roboczej, czyli pracującej większości. I nie będzie to pierwszy raz w historii. Wielki skok w rozwoju brytyjskiego przemysłu również pochodził z handlu i wykorzystania darmowej pracy niewolników.

Ktoś powie: „niemożliwe!”. Czyżby? Wyobrażacie sobie w Polsce bunt społeczny? Przecież liderzy tej części społeczeństwa, która głosuje na liberałów, już dawno nadsłuchują Konfederację, uznając, że likwidacja państwa jest uczciwą ceną za pozostanie u władzy.

Bunt jest niemożliwy tak długo, jak długo jest nie do pomyślenia. Tymczasem nasz kraj tak bardzo skreślił w prawo, że każda propozycja opodatkowania kapitału i kapitalistów uważana jest za skrajny stalinizm, mimo że w większości cywilizowanej Europy jest to norma. Większość społeczeństwa w kraju rządzonego przez tych, którzy beczelnie okradają nas z owoców naszej pracy, żywi bałwochwalczy podziw dla ludzi sukcesu i nie ma najmniejszego znaczenia, że przeważnie ten sukces wynika z krzywdy ludzkiej.

Kapitalizm jest uznawany za system docelowy i nikt nie śmie nawet pomyśleć, że jest jakaś alternatywa dla wyzysku, lichwy, skandalicznie wysokich cen mieszkań czy umierania w kolejce do mieszkania. Dopóki ci, którzy leczą się prywatnie, blokują podwyższenie zbyt niskiej składki zdrowotnej, biednych nie będzie się ratować przed śmiercią na uleczalne choroby.

Bunt może się zrodzić dopiero wtedy, kiedy ludzie uwierzą, że tak nie musi być. Albo kiedy „geniusze” w stylu wójta znad Dunajca zaczną rządzić w całym kraju i zamienią nasze życie w piekło. Słowem, kiedy przegną.

Dziś PiS cieszy się, że będzie mógł po wyborach utworzyć w sejmie koalicję z Konfederacją i powrócić do władzy, żeby zemścić się na tych, którzy teraz rządzą. Jednak cena za głosy Konfederacji sprawi, że partia Kaczyńskiego utraci swą atrakcyjność. Bo wygaszenie transferów socjalnych, czego zażąda Mentzen, pozbawi PiS wpływów w społeczeństwie.

Jest jednak jeszcze inny scenariusz. Konfederacja nie wejdzie do rządu ani z PiS, ani z PO, tylko poczeka, żeby z czasem zdobyć możliwość samodzielnego rządzenia. A wtedy nikt już nie będzie się krępował pokazywać, że Polska należy do jakichś rodzimych Musków i Trumpów. Ludzi, którzy nie przejmują się konstytucją ani w ogóle prawem, o ile to prawo będzie w jakikolwiek sposób przeszkadzać im w nieograniczonym bogaceniu się.

PIOTR IKONOWICZ



Rys. OBYWATEL JANEK

temu aż 85 proc. Ukraińców mieszkających w Polsce jest zadowolonych z otrzymywanych wynagrodzeń w odniesieniu do swoich kwalifikacji. Żeby tylko – 70 proc. z nich deklaruje, że co miesiąc udaje im się zaoszczędzić część zarobionych pieniędzy. Wszystko to dlatego, że Ukraińcy wciąż patrzą na to, ile zarabia się w ich kraju. Bo w Polsce średnia pensja brutto w 2024 r. osiągnęła statystyczny poziom 7874 zł, a prognozy na 2025 r. przewidują wzrost do 8673 zł. Tymczasem, mimo że na Ukrainie średnie zarobki rosły trzeci miesiąc z rzędu, to w lutym wynosiły ok. 2200 zł.

Panteon nien

Zenon Bożydar, Gromosław Rewolwer

Syn tupetu i tiulu

Były czas, kiedy Daniel Olbrychski z zadziwiającą kredybilnością bronił Częstochowy. W tym czasie Maryla Rodowicz wysiadała z pociągu, którym podróżowało zaledwie „trzech pasażerów”. A zatem...

Maryla Rodowicz to kwintesencja subtelności i minimalizmu – zarówno w muzyce, jak i w stylu ubioru. Jej sceniczne kreacje to przykład stonowanej elegancji. Każdy występ jest dowodem na to, że mniej znaczy więcej. Ach, ta zawsze idąca z duchem czasu Maryla, nigdy nietrzymająca się kurczowo dawnych hitów i z całą pewnością niecelebrująca ich przez dekady na tych samych festiwalach. Jej kariera to przykład wyważonej ewolucji artystycznej bez cienia nostalgii za dawną świetnością. Nigdy nie zdominowała polskiej estrady, nie ma na koncie niezliczonych występów na Sylwestrach i absolutnie nie jest niezniszczalna.

Natomiast on...

Daniel Olbrychski. Ego większe niż długi narodowe i tupet godny czołgu. W mediach błyszczy jak gwiazda rocka. Każde jego pojawienie się to festiwal narcyzmu. Uwielbia słyszeć swój głos, a dziennikarze to tylko pretekst, by znowu popisać się elokwencją i erudycją. Na ekranie daje czaadu! Emocje kipią niczym wulkan. Dramatyczne role to jego specjalność. Olbrychski to aktorstwo totalne, z gestem, z rozmachem, z patetycznym drżeniem głosu. Ikona polskiego kina, przypominająca nam o tym przy każdej okazji.

No i powiedzmy, w rezultacie zaćmienia, podchmienienia, impulsu, jak to zwykle bywa, na świat przychodzi Zenon Bożydar.

Kim byłoby to biedne stworzenie? Koszmar senny każdego psychoanalityka. Z jednej strony geny matki – ostentacyjna wręcz subtelność maskująca wszelkie żelazną wolę i nieustępliwość w dążeniu do celu. Z drugiej – ojcowski egocentryzm, pęd do bycia w centrum uwagi i niepomahowana potrzeba ekspresji. Od urodzenia czułby się jak książę w wyłansowanym przez matkę królestwie kiczowatego przepychu. Otoczony dworem z plastikowych paproci i pluszowych tygrysków. Na szkolnej akademii deklamowałby Mickiewicza z uniesioną dłonią i łzą w oku. Na lekcjach historii przerywał nauczycielowi, by opowiedzieć o swojej roli w inscenizacji bitwy pod Grunwaldem. Kariera oczywiście artystyczna! Aktor, piosenkarz, a może polityk? Syn Rodowicz i Olbrychskiego to gotowy przepis na rozrywkową katastrofę.



Kmicic z botoksem



Pierwsza dama piór i lamety



Zenon Bożydar

Zrodzona z wraku

Co by było gdyby po tych tragicznych wydarzeniach z 2010 r. mężczyzna dziś powszechnie znany, charyzmatyczny, niezależny, bezkompromisowy, sam podejmujący decyzje, a z Kaczyńskim rozmawiający jak równy z równym, nieomylny, mistrz retoryki, błyskający na salonach z pewnością siebie i dystansem, pełen energii, dbający tylko o obywateli – krótko mówiąc, Andrzej Duda – spotkał jeszcze bardziej (bardziej, niż ją spotkał) Martę Kaczyńską. Córkę Lecha Kaczyńskiego, poległego prezydenta, uosobienie skromności i powściągliwości, stroniącą od rozgłosu niczym diabeł od święconej wody. Trzydziestolatka, której medialne wystąpienia to zbieg okoliczności, a nazwisko rodowe – brzmię, jakiego nigdy nie wykorzystuje. Osobę, której życie rodzinne to oaza harmonii i stabilności, wolna od sensacji i moralnych dylematów.

Być może, może być, że w tych okolicznościach pojawiłaby się np. Konstancja Jadwiga (dziś już licealistka). Niejakie połączenie ognia z wodą. Z jednej strony charyzmatyczna, pewna siebie, z zacięciem do polityki. Z drugiej – skromna, wycofana, unikająca rozgłosu. Wewnętrzny konflikt murowany. Zatem albo cicha myszka z potencjałem liderki, albo polityczna petarda z kompleksem córki znanych rodziców. Tak czy siak, nuda by jej nie groziła. Ani nam.



Ojciec narodu za młodu



Prezydentówna



Konstancja Jadwiga

Syn cienia i twardego

Ongiś media plotkarskie, a nawet Wikipedia, odnotowały pewne spekulacje. Czyżby i nam wolno było puścić wodze fantazji? A zatem...

Monika Jaruzelska – kobieta nieubłaganie zanurzona w cieniu ojca. Nazwisko Jaruzelska to jej znak firmowy. Karta wejścia do salonów III RP. Jej wypowiedzi to mieszanka wyrachowania i emocjonalnego zabarwienia. Jej publicystyczna działalność to jeden wielki manifest sprzeciwu wobec oskarżeń kierowanych pod adresem pierwszego prezydenta III RP. Więziarka własnej historii, skazana na wieczne mierzenie się z generalskim dziedzictwem.

A obok niej... słowo „obok” w trójwymiarowej przestrzeni nabiera wielu znaczeń. Może oznaczać „nad”, „pod”, „powyżej”, „poniżej”, a nawet coś więcej...

Bogusław Linda, który nie musi nic mówić, żeby wszyscy wiedzieli, że jest twarde. Wystarczy jedno jego spojrzenie, a w powietrzu czuć zapach dymu papiero-

sowego i testosteronu. Jego kultowe kwestie weszły do języka codziennego: „Bo to zła kobieta była”. Polski Bruce Willis, tylko z większym dystansem do świata i mniejszą skłonnością do uśmiejchów. Poza ekranem człowiek legenda, który mówi to, co myśli, nawet jeśli czasem nikt nie pytał.

Kto by z tego wynikał?

Mieszanka wybuchowa, genetyczny koktajl Mołotowa. Chłopiec – Gromosław Rewolwer. Z jednej strony dziedzictwo kontrowersyjnego generała, z drugiej – legenda filmowego twardego. Skazany na życie w cieniu dwóch potężnych figur. Rozdarty między pragnieniem buntu a potrzebą lojalności. Publicznie broniłby dziadka generała, z zadziorną miną rzucając riposty w stylu ojca: „Bo to zła historia była”. Prywatnie zaś zmagalby się z demonami przeszłości, próbując odnaleźć własną tożsamość poza schematami narzucenymi przez rodzinne historie. Czy zostałby aktorem, politykiem, a może rewolucjonistą? Trudno powiedzieć. Byłby jak iskra rzucona na beczkę prochu, gotowa w każdej chwili rozpaść pożar.



Flirtująca z historią



Tata polskiego twardego



Gromosław Rewolwer

Ostatni prawdziwy mężczyzna



Pomnik narodowej urody



Córka czołgu i papierosa

Natomiast w czasach, kiedy aktorzy jeździli czołgami, zamiast rozbijać się limuzyną, i nie była to fanaberia, a często konieczność, jednym – a w zasadzie jedną – z nich była Pola Raksa. Miała wszystko: talent, urodę i tę niezwykłą umiejętność sprawiania, że całe pokolenia mężczyzn wzdychały do telewizora. Uosobienie kobiecego wdzięku. Po roli Marusi w „Czterech pancernych i psie” jej status narodowego skarbu był już niepodważalny. W końcu trudno było nie zakochać się w dziewczynie, która nawet w wojennych realiach wyglądała jak z plakatu. Zniknęła. Bez fanfar, bez łzawych wywiadów. Zajął się projektowaniem mody. Mądra kobieta, która wiedziała, kiedy zejść ze sceny. Miała odwagę wybrać własną drogę. Ale też spryt i zdrowy rozsądek.

I owa pancerna Marusia zupełnie prywatnie spotykała omawianego już Bogusława Lindę. Co mogłoby z tego wynikać?

Przyjmijmy, że byłaby to Marlena Boguraksa – bo tak by jej musowo dano w urzędzie.

Marlena Boguraksa

Mówiłaby niewiele, ale jej słowa miałyby wagę złota. Magnetyzm matki, z drugiej strony – zadziorność i twardy charakter ojca. Kobieta o hipnotyzującym spojrzeniu, która jednym skinieniem głowy potrafi zauroczyć cały pokój. Ninja w jedwabnej sukience. Delikatna z wyglądu, ale z żelazną wolą i ostrym jak brzytwa językiem. Wolałaby projektować kostiumy dla filmów o twardego, oczywiście reżyserowanych przez tatę. A pytana o rodziców, rzucałaby krótkie: „To zła rodzina była” – i zniknęła, zostawiając wszystkich w osłupieniu.

Narodzonych

wer, Marlena Boguraksa i inni

Córka prezesa i pielęgniarki

Nie możemy też pominąć innego związku wykreowanego przez dziennikarzy i fotoreporterów...

On: Jarosław Kaczyński, co od dekad nieprzerwanie czuwa nad Polską, bo najwyraźniej nikt inny nie nadaje się do tej roboty. Nie potrzebuje stanowisk ani oficjalnych tytułów. Prawdziwa władza i tak leży tam, gdzie wskazuje. Dowiódł, że można rządzić krajem bez wychodzenia z gabinetu i że jedyną naprawdę potrzebną instytucją w Polsce jest on sam.

Wizja świata Prezesa jest prosta: są dobrzy i źli, patrioci i zdrajcy, my i oni. A kto dokładnie jest kim? To oczywiście zależy od jego aktualnej strategii. W końcu polityka to nie miejsce na niuanse, tylko na wielkie czarno-białe narracje, w których on zawsze stoi po właściwej stronie. Jego talent do budowania konfliktów i podziałów jest wręcz legendarno-instytucjonalny. Gdyby kłótnie były walutą, Polska byłaby światową potęgą.

Ona: Jolanta Szczypińska

Wielki architekt polskiego chaosu



Pierwsza sanitariuszka IV RP



Leokadia Patos



pielęgniarka Kaczyńskiego. Symbol bezgranicznej lojalności. Niby zasiadała w sejmie, ale jej głównym zadaniem była opieka nad liderem. Cicha, dyskretna. Zawsze w pogotowiu. Dbała, by wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku. Wierna żołnierka partii. Polityczna pielęgniarka, która wiedziała, komu robić zastrzyki.

No i co by z tego mogło wyjść, a w zasadzie przyjść na świat?

Zaryzykujemy. Polityczna terminatorzyca w spódnicy znana byłaby jako Leokadia Patos ksywa „Jarojola”. Zimna jak lód, lojalna jak pies. „Polska? To ja” – powiedziała, podając ojcu ciepłe mleko z miodem. Opozycja związała się z bólu brzucha po jej politycznych zastrzykach. Naród spałby spokojnie, wiedząc, że jest pod opieką najlepszej pielęgniarki w kraju.

Krótko mówiąc: połączenie Matki Teresy z Terminatorem. Z naciskiem na Terminatora.



Dyplomata zawodowy i student wieczorowy



Kapłanka vibrato



Pandora Kwaśnogórnjak

Pandora Kwaśnogórnjak

Nie musimy koniecznie zgadzać się z Aleksandrem Kwaśniewskim co do tego, co działało się (lub nie) na pokładzie samolotu lecącego w 2002 r. do Seulu. Może nie działało się nic. Może ten samolot w ogóle nie istniał. A może któraś z dalej opisanych osób wcale się na jego pokładzie nie znalazła. Założmy jednak na chwilę, że ojciec byłby chodzącym dowodem, że nawet z dusznych oparów PRL może wyłonić się polityczny motyl. Zaczął jako poczwarka w młodzieżowych, by transformować w eleganckiego socjaldemokratę – kameleona zmieniającego barwy w zależności od otoczenia. Z ludu, dla ludu, ale przede wszystkim dla siebie. Na dożynkach z kieliszkiem w dłoni, na szczytach w garniturze od Cardina. Zawsze z uśmiechem godnym reklamy Blend-a-med.

Dla jednych ostoja rozsądku, dla innych artysta uniku. Nigdy nie mówił „tak” ani „nie” – wołał „trzeba się zastanowić”. Bo po co się narażać, skoro można lawirować? Gdyby polityka była balem maskowym, zgarnąłby pierwszą nagrodę za najlepszy kostium.

Ona – kobieta, głos anielski, ego kosmiczne. Polska diwa, która od czasu („To nie ja-aaaaaaAAAAAAA byłem Ewą!”) udowadnia, że absolutnie wszystko może być o niej – łącznie z pandemią, szczepionkami i ewolucją duchową. Jej życie to nie kariera. To

epicka podróż międzyplanetarna z przystankami w Opolu, Hollywood i na Instagramie.

Zdolna? Bez dwóch zdań. Skromna? Cóż... Nie tylko śpiewa, ale też leczy energią, kwestionuje naukę i edukuje ludzkość o zagrożeniach płynących z masek ochronnych. Wrażliwa jak porcelana, ale z pazurem lwicy z horoskopu. Wiecznie niezrozumiana, niedoceniana, zagubiona w świecie, który najwyraźniej nie nadaje za jej duchową częstotliwością. Jak na diwę przystało, zawsze gotowa rzucić karierą, by po odpowiednim interwale wrócić do niej z jeszcze większą dramą.

Zatem znów zaryzykujemy: Pandora Kwaśnogórnjak byłaby owocem miłości diwy i kameleona. Dziedziczka anielskiego głosu i socjaldemokratycznego uśmiechu. Po matce – kosmiczne ego i kruchość, po ojcu – elastyczność i talent do lawirowania. Dziecko dwóch planet, zawieszona między estradą a polityką, między Instagramem a salonami. Już od kołyski manifestowała by wyjątkowość. Płakałaby ariami operowymi, a pieluchy pozwalałaby sobie zmieniać tylko w rękawiczkach od Diora. Życie performance. Każdy dzień – okazja do dramatu. Z jednej strony głosi miłość do ludzkości, z drugiej – żąda osobistego astrologa.

Dziewczyna skazana na wielkość... albo na wieczną ucieczkę przed sobą samą, bo akurat jej alter ego też ma lęk separacyjny. Planeta Ziemia ciągle grałaby dla niej disco polo.

Jan Paweł Bis

Nie sposób w tej wyliczance pominąć czasów, kiedy kajak był jak jacht, a wejście na Gęsią Szyję jak zdobycie Czomolungmy. To było wtedy, kiedy Karol i Wanda, jeszcze nieosiadłani brzemieniem historii, odkrywali tajemnice życia.

Karol zaczynał jako młody chłopak z Wadowic, zafascynowany teatrem, lecz zamiast sceny wybrał drogę duchową. Mimo to i tak został gwiazdą – nie tylko watykańskich balkonów, ale i stadionów na całym świecie. Był papieżem instytucją, który podróżował tak często, że Watykan można było uznać za jego letnią rezydencję. Zapewnił sobie rekordową liczbę pomników, ulic i szkół swojego imienia, na stałe wpisując się w polski krajobraz.

Jako konserwatysta niechętnie patrzył na zmiany w Kościele. Feminizm, antykoncepcja czy prawa osób LGBT nie znajdowały się na liście priorytetów. Jego pontyfikat należał do najdłuższych w historii, a on sam pobił kilka rekordów: w kanonizowanych świętych oraz godzin spędzonych na całowaniu ziemi.

A owa Wanda Wojtasik to późniejsza profesor Półtawska. Przyjaciółka papieża, zanim to było modne. Lekarka, psychiatra, moralistka. Miała numer do Wojtyły, zanim jeszcze został świętym. Dyskutowała z nim, radziła mu, a on słuchał. Uczyła o małżeństwie, macierzyństwie i moralności. Dożyła setki, bo przyjaźń z papieżem przedłużyła życie. Krótko mówiąc: kobieta, która wiedziała, do kogo dzwonić.

W rezultacie zderzenia i kohezji takichże genów koniecznie musiały zaistnieć ksiądz profesor Jan Paweł Półtawski-Wojtyła, doktor habilitowany teologii, biskup pomocniczy diecezji krakowskiej, od najmłodszych lat zdradzający predyspozycje do duchownych wyzyna. Syn słynnego papieża Polaka i jego bliskiej przyjaciółki odziedziczyłby charyzmę i niezłomny konserwatyzm.

Przemawiałby z płynnością godną niezamurowanego papieskiego okna, a jego kazania o moralności i tradycji gromadziłyby tłumy wiernych. Mimo pokus światowej kariery aktorskiej zapewne wybrałby karierę kościelną, na stołku kardynalskim przynajmniej. Znany byłby z nieprzejednanego stanowiska w sprawach feminizmu, antykoncepcji i praw osób LGBT. Stałby się ikoną konserwatywnego skrzydła Kościoła. Krytycy zarzucaliby mu brak otwartości na współczesne problemy. Zwolennicy widzieliby w nim strażnika tradycyjnych wartości.

Papieżem jednak by nie został, jako poczęty w budzących wątpliwości okolicznościach, co wyciągnięto by mu na konklawe.

Papież wszech czasów



Pierwsza dama katolickiej ginekologii



Ksiądz profesor Jan Paweł Półtawski-Wojtyła

Rodzina, która zaskoczyłaby Polskę

Oczywiście pewne rzeczy wydają się całkowicie niemożliwe. Ale inżynieria genetyczna nie stoi w miejscu. Pędzi jak rozpędzony pociąg bez hamulców. Już niebawem możliwe będzie stworzenie nowego człowieka z zaledwie włosa, paznokcia czy pojedynczej komórki pozostawionej przypadkiem na kieliszku.

Puśćmy więc wodze fantazji. Niech wyobraźnia zrobi to, co potrafi najlepiej – niech urodzi coś zupełnie niestworzonego.

Robert Biedroń. Uśmiechnięty rewolucjonista polskiej polityki. Luz i dystans. Selfie z tłumem zamiast grożenia palcem. Mistrz prowokacji w aksamitnych rękawiczkach. Herbatka z przeciwnikami zamiast rzucania bomb politycznych. Dla jednych – nadzieja, dla innych – zagrożenie. Ale jedno jest pewne: w kraju ponuraków on się uśmiecha.

No i... Tomasz Raczek. Krytyk filmowy, który chroni Polaków przed kinematograficznym bądziwem. Mistrz eleganckiej riposty, od której reżyserom robi się ciepło (choć nie zawsze z przyjemnością). Jego misja: reedukacja widzów. Jego styl: błyskotliwy, beczelnie inteligentny. Zawsze ma rację, nawet jeśli się myli.

I gdyby Robert Biedroń i Tomasz Raczek mieli córkę, byłoby to dziecko, które z uśmiechem wygrywa każdą dyskusję. Przeciwnik jest pokonany, zanim się zorientuje, że dyskutuje – i to w sposób tak elegancki, że jeszcze mu miło. Na imię jej by było Róża Krytyka. Buntownicza z doskonałymi manierami, która zamiast rzucać hasła, zadaje pytania, na które nie ma wygodnych odpowiedzi.

Jej świat to połączenie europejskiej nowoczesności i intelektualnej elegancji. Potrafi bawić się słowem jak ojciec Tomasz i porwać tłumy jak ojciec Robert. Jej misja? Nie krzyczeć, nie obrażać, nie wymachuje rękami.



Człowiek, który już to widział i nie był zachwycony



Księżę tęczowej równości



Róża Krytyka

ROBERT JARUGA

PS Jak łatwo się domyślić, trzymanie w rękach numer „NIE”, który jest ważny zarówno przed, jak i po 1 kwietnia. Ta data ma wszakże dla tekstu znaczenie kluczowe. Nawet rysy charakterologiczne ludzi z krwi i kości należy traktować z przymrużeniem oka. Dzieci autor zrobił sam, przy pomocy własnego pomyślniku oraz sztucznej inteligencji, która okazała się całkiem prawdziwa.

Dość już tego nieodpowiedzialnego mędrkowania. Komentowania dla skomentowania. Bąblowania komórkami mózgowymi dla ich gromkiego bulgotania.

Filozofowie jedynie interpretowali świat – zauważył kiedyś Karol Marks i wezwał światowych mózgowców, aby zaczęli go zmieniać. Dlatego dziś prezentuję konkretne rozwiązanie jednego z najbardziej nabrzmiałych globalnych problemów. Węzła ukraińskiego.

Każdy polityk na świecie deklaruje dziś poparcie dla szybkiego zakończenia wojny w Ukrainie. Problem zaczyna się, kiedy trzeba uzgodnić warunki rozejmu. Nakreślić wizję państwa ukraińskiego działającego po zawieszeniu broni. Wtedy pojawiają się protokoły rozbieżności.

Moskwa chce, Kijów chce

Rosja widzi przyszłą Ukrainę jak państwo podobne niemieckiemu w 1919 r., kiedy światowe mocarstwa w Wersalu nałożyły na Niemcy olbrzymie kontrybucje wojenne. Zakażały im posiadania ofensywnej armii, akceptowały utracone przez państwo niemieckie terytoria na wschodzie.

Rosja sygnalizuje, że wspinałomyślnie rzeka się kontrybucji od państwa ukraińskiego. Na rzecz Donalda Trumpa, prezydenta USA, swego biznes partnera. W zamian zadowolony się jedynie demilitaryzacją Ukrainy, czyli radykalną redukcją jej armii. A także niepodważalnym warunkiem: utrzymaniem Ukrainy poza NATO i innymi wrogimi Rosji sojuszami wojskowymi.

Rosja zadowolony się na razie jedynie zdobytymi już na Ukrainie terytoriami wschodnimi. Będzie zmuszać Ukraińców do „defaszycacji”. Rozumianej przez Rosjan jako odrzucenie przez Ukraińców narodowowyzwoleńczych tradycji UPA i kultu jej przywódców. Co ciekawe, ten postulat jest powszechne akceptowany również przez polskich polityków. Pogląd „z Banderą na sztandarach Ukraina nie wejdzie do Unii Europejskiej” regularnie przypominają w polskich mediach politycy i komentatorzy. Wyrażając zgodę polskiej propagandy z putinowską.

Kijów chce zawieszenia broni, ale powiązanego z szybkim planem odbudowy ukraińskiej gospodarki. Nawet za cenę stworzenia tam specjalnych stref kolonialnych USA. W zamian za grabież swych surowców przez amerykańskie koncerny Kijów pragnie realnych amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa dla państwa ukraińskiego, odrębności kulturalnej Ukraińców.

Dodatkowo rządząca tam ekipa chce – na użytek czekających ją wyborów prezydenckich i parlamentarnych – politycznych deklaracji, że NATO przyjmie kiedyś Ukrainę w swe szeregi. Podobnie jak Unia Europejska.

Kijów zaakceptuje „czasowo” utracone terytoria państwa ukraińskiego w efekcie toczącej się od 2014 r. wojny. Jednak formalnie zawsze będzie uważać je za ukraińskie. Podobnie jak Japonia, która zaakceptowała w 1945 r. wymuszone warunki rozejmu z ZSRR oraz utratę swych Wysp Kurylskich i spornego półwyspu Sachalin. Ale tych strat terytorialnych nie uznała i traktatu pokojowego z ZSRR, a potem z Rosją, nadal nie zawarła.

Prezydent Trump i jego administracja pragną szybkiego rozejmu. Bo ta wojna przeszkadza w efektywnej konfrontacji z Chinami. Dodatkowo wzmacnia ona gospodarczo i politycznie Chiny, które wyrosły na senior partnera Rosji.

Rozejm w Ukrainie zdejmie z prezydenta Putina szaty agresora. Pozwoli Trumpowi na robienie interesów z Rosją bez narażania się na krytykę demokratycznego, kolektywnego Zachodu.

Dodatkowo rozejm zawarty wedle formuły „bezpieczeństwo Ukrainy w zamian za jej bogactwa” wzmocni gospodarczo USA w konfrontacji z Chinami. Uniezależni nieco od chińskiego monopolu w handlu rzadko występującymi metalami i surowcami.

Rusz się, Trump!

Niestety, zapowiadanego szybkiego rozejmu nie ma. Proponowane i wykonywane przez prezydenta Trumpa działania to jedynie drobne półkroczki. Dlatego

Stan wyższej konieczności

Tylko Unia z USA
bezpieczeństwo da

GADMAN

apeluję do prezydenta Trumpa, aby w pełni wysilił swój zmuskowny mózg. Skończył z dreptaniem. Aby przyłączył Ukrainę do Stanów Zjednoczonych swojej Ameryki.

To byłby mały krok dla tak wielkiego człowieka, ale też wielki skok dla ludzkości.

Zauważcie, że akcesja Ukrainy do USA rozwiązałaby wszystkie obecne ukraińskie problemy. Stając się kolejnym stanem USA, nie musiałaby Ukraina dalej zabiegać o wstąpienie do NATO. Udowodniać, że już spełnia jakieś tam warunki, a inne postara się wypełnić. Wstupując do USA, będzie w NATO automatycznie. Nie słyszałem, by ktoś kwestionował udział Teksasu czy Hawajów w NATO.

Przyjęcie Ukrainy do USA zdejmie też z ukraińskiego państwa i społeczeństwa konieczność dostosowywania się do wyśrubowanych standardów Unii Europejskiej. Akceptacji LGBT, walki z korupcją i z kultem Stepana Bandery. Akcesja do USA będzie łatwiejsza, bo aktualne elity polityczne USA nie wymagają organizowania już parad równości ani potępienia nieznanego tam Bandery.

Przyjmując Ukrainę do USA, prezydent Trump uwolni też liderów Unii Europejskiej od ukraińskiego kłopotu. Od wieloletnich nieskutecznych negocjacji akcesyjnych bloko-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

wanych przez węgierskiego Orbána albo polskich antybanderowców.

Przyjęcie Ukrainy do USA na pewno spowoduje początkowy sprzeciw Rosji. Ale prezydent Trump i jego Musk na pewno znajdą dla niej marchewkę i kij. Zaproponują jakąś transakcję satysfakcjonującą ekipę Putina. Mogą odkupić Ukrainę od Rosji jak kiedyś Alaskę. Mogą zaproponować wymianę Kijowa na Kanadę albo Strefę Gazy. Przysięg, że dalej już NATO nie będzie się rozszerzać. Obiecać przyszłe sojusze polityczne i deale gospodarcze.

Mogą też użyć wobec Moskwy kija. Wizji, że zmuszą Unię Europejską do natychmiastowego przyjęcia Ukrainy. I wtedy konserwatywna Rosja może

mieć za sąsiadkę antyrosyjską, lewacką, gejowską Unio-Ukrainę. Zamiast konserwatywnych, antygejowskich, prorosyjskich USA. Bo obywatele USA bardziej lubią Rosję niż Ukraińcy z Ukrainy.

Przyjęcie Ukrainy do USA radykalnie wzmocni też przyjaźń polsko-ukraińską. Bo mieszkańcy Polski też bardzo kochają USA. Nawet kiedy nie czują się kochani przez Amerykanów. Polacy obawiają się akcesji Ukrainy do UE. Zwłaszcza zdominowania gospodarki Unii przez jej rolnictwo. Ukraina w USA nie będzie już Polakom tak przeszkadzać. Nawet jej rolnictwo, bo prezydent Trump nałożył już cła na eksport produktów rolnych i żywności z USA.

Zapewne wtedy też problem ukraińskiego kultu UPA przestanie być dla polskich polityków istotny. W USA było wielu lokalnych bohaterów, którzy wymordowali dziesiątki milionów Indian. Przy ich czystkach etnicznych ludobójstwo UPA, kult Bandery to mały pikus. Niewart nawet wzmianki w lokalnych mediach. Zwłaszcza kiedy będzie to ludobójstwo Amerykanów ukraińskiego pochodzenia.

Szybko może być rozwiązany, bo już po amerykańsku, problem ekshumacji zwłok polskich ofiar UPA. Nowa administracja podzieli te tereny na działki i ustali cennik prac ekshumacyjnych. Każdy, kto zechce tam kopnąć, wpuści go do działki. Jeśli będzie za dużo chętnych na jedną działkę, to wystawi się ją na licytację.

Wielu Polaków marzyło, aby mieszkać w USA. Albo przynajmniej mieć USA za sąsiada. Dziś Polacy kochają USA bardziej niż Ukrainę. Kiedy Ukraińcy zostaną Amerykanami decyzją prezydenta Trumpa, to polscy pravicowi patrioci od razu zapalają miłością nawet do Ukraińców.

Kijów, Guam, Honolulu

Oczywiście znajdą się marudy i mal-kontenci, którzy zakwestionują prawne, formalne możliwości wstąpienia suwerennej jeszcze Ukrainy do Stanów Zjednoczonych. Ale nie lekceważcie twórczego trumpizmu i muskizmu. Są już w historii USA precedensy przyjmowania do Stanów Zjednoczonych nawet odległych od północnej Ameryki terytoriów.

Na początku Ukraina może mieć status podobny do wyspy Guam. Być „terytorium zamorskim USA”. Zachować w Kijowie lokalny parlament. Szeroką autonomię kulturalną i polityczną. Przyjąć szybko regulacje prawne legalizujące eksploatację lokalnych surowców przez amerykańskie koncerny. One zapewnią pełne gwarancje bezpieczeństwa od Rosji i innych agresorów.

Potem Ukraina może przejść drogę innego kiedyś zamorskiego terytorium, które w 1959 r. stało się pełnoprawnym stanem USA. Czyli Hawajów.

Wolność to uświadomiona konieczność.

Dziś Ukraińcy mają już świadomość, że los ukraińskiego narodu zależy od jego bezpieczeństwa. Czy to bezpieczeństwo warte jest ograniczenia „suwerenności”?

Zwłaszcza w czasach, kiedy państwa Unii Europejskiej też rezygnują z niektórych atrybutów suwerenności na rzecz wspólnego bezpieczeństwa.

Ciekawe, jak zagłosowałoby w referendum obywatele Ukrainy, gdyby mogli wybierać.

Być w Unii Europejskiej, w USA czy zachować stan obecny?

A jak zagłosowałoby Polacy gdyby prezydent Trump zaproponował im status europejskich Hawajów?

PIOTR GADZINOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

20 marca podczas codziennego przemówienia Wołodymyra Zelenskigo nagle zadzwonił telefon komórkowy. Jak oznajmił Zelenski, usiłował się do niego dodzwonić prezydent Francji, ale jako że dla prezydenta Ukrainy najważniejsi są Ukraińcy, Macron dyszał z rozmową poczekać do końca orędzia. W kręgach dyplomatycznych sytuacja wzbudziła rozbawienie, bo – co wie każdy, kto choć otarł się o służbę dyplomatyczną – tak nigdy nie wyglądają rozmowy przywódców. Pałac Elizejski i francuskie MSZ o sprawie taktownie milczą.

W wywiadzie dla „Newsweeka” doradca NATO i brytyjskiego rządu Keir Giles objaśnia, jak powinny wyglądać wojska państw NATO wysłane (bez zgody Rosji) na Ukrainę: Ludzie myślą, że są to lekko uzbrojone oddziały, coś w rodzaju policji. Tymczasem to muszą być oddziały bojowe, ponieważ zostaną zaatakowane przez rosyjską armię. I będą musiały strzelać do Rosjan. Na pierwszą linię proponujemy postać bojowego Keira.

Rosyjska supergwiazda wystąpi w Polsce. „To brak szacunku dla narodu ukraińskiego” – alarmuje „Gazeta Wyborcza” i ujawnia dowody na popieranie przez artystkę Władimira Putina: Nina Kraviz nie zaprzeczała także przeciwko działaniom Kremla po

wybuchu pełnoskalowej wojny. Artystka opublikowała jedynie na Instagramie wideo, na którym pisze na kartce po rosyjsku słowo „pokój”. Środowisko skrytykowało ten skromny gest. Słynna ukraińska didżejka i producentka muzyczna Nastia uznała, że wideo jedynie podkreśla poparcie Kraviz dla polityki Putina. Dodajmy, że Nina Kraviz wystąpi 25 kwietnia w stołecznym klubie Smolna 38.

Wieloletnia pracownica Radia Wolna Europa Irena Lasota lamentuje na łamach „Rzeczpospolitej” nad zamknięciem rozgłośni przez Donalda Trumpa. Przy okazji informuje czytelników o standardach panujących w tej radiostacji: Kiedyś w 1982 roku w czasie stanu wojennego przejeżdżaliśmy późną nocą (...) koło nowojorskiego biura Aero-fotu. Sprayem napisaliśmy na witrynie „Solidarność”, ale tego mi nie wystarczyło. Zadzwoniłam z budki telefonicznej (takie coś wtedy

istniało) na policję i powiedziałam, że widziałam, że ktoś wandalizuje biuro sowieckich linii lotniczych. Policja przyjechała, ja zrobiłam z nimi wywiad, a następnego dnia rano nadałam wiadomość, że właściwie cały Nowy Jork popiera Solidarność i maluje na ścianach... To się nazywa obiektywne dziennikarstwo!

Głębokimi przemyśleniami dzieli się z czytelnikami „Do Rzeczy” Maciej Pieczyński: Osobny i wielce symptomatyczny jest przypadek [rosyjskiej, ale nadającej z Łotwy] telewizji Dożd (Deszcz). (...) Za używanie przez dziennikarzy określenia „nasza armia” w stosunku do sił zbrojnych FR Dożd został ukarany grzywną w wysokości 10 tys. euro. Telewizja była też krytykowana za brak ścieżki dźwiękowej w języku łotewskim. Ostatecznie tamtejsza Krajowa Rada Mediów Elektronicznych odebrała stacji koncesję z uwagi na „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i porządku publicznego”. Dożd zniknął z kablówki, ale funkcjonował dalej w łotewskim internecie – na YouTube. Z jednej strony, trudno kwestionować antyputinowską i antywojenną linię redakcyjną jednej z najdłużej działających i najpopularniejszych opozycyjnych stacji telewizyjnych. Z drugiej strony, kontrowersje, skutkujące utratą koncesji, pokazują, że nawet „dobrzy Rosjanie”, konsekwentnie prezentujący liberalną, demokratyczną i prozachodnią agendę, nie są całkowicie wolni od genu imperializmu. Faktycznie, określanie w rosyjskiej telewizji rosyjskiego wojska mianem „naszej armii” i brak łotewskiej ścieżki językowej niezbitie dowodzą „genu imperializmu”.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Zmartwychwstanie lewactwa

Die Linke – antyestablishmentowa radykalna lewica – niespodziewanie zdobyła 64 mandaty w przedterminowych wyborach do Bundestagu. Mimo iż przepowiadano jej nawet nieprzekroczenie pięcioprocentowego progu, zdobyła 8,8 proc. głosów, tj. o 5,8 proc. więcej niż w wyborach grudniowych, kiedy z wynikiem na poziomie 3 proc. nie dostała się do parlamentu.

Die Linke zyskuje

Die Linke przejęła część rozczarowanego elektoratu socjaldemokracji, jednak nie jest to jedyna przyczyna odbicia się Lewicy od dna. Niemieccy analitycy zwracają uwagę, że głosowała na nią niemała część młodych wyborców, którzy mają dość politycznego centrum, ale nie są gotowi poprzeć nacjonalistycznej prawicy.

Na Die Linke oddało głos aż 25 proc. wyborców w wieku od 18 do 24 lat; na skrajnie prawicową Alternatywę Dla Niemiec (AfD) – o 4 proc. mniej.

Ponadto, zdaniem analityków, Die Linke prowadziła skuteczną kampanię w socialmediach, kładąc akcent na sprawy socjalne, mówiąc o potrzebie zmniejszenia ubóstwa, postulując zniesienie VAT-u na żywność, artykuły higieniczne i bilety komunikacji publicznej. Pieniądze na realizację tych celów miałyby pochodzić z wprowadzenia dodatkowych podatków dla najbogatszych: 1 proc. od osób posiadających 1 mln euro, 5 proc. – od 50 mln i 12 proc. od 1 mld euro. Jak mówił współprzewodniczący partii Jan van Aken, te fortuny mogły powstać dzięki milionom ciężko pracujących ludzi. Zdaniem współprzewodniczącej Ines Schwerdtner wyborcy widzą, że w sprawach socjalnych Die Linke jest wiarygodna, podczas inne siły polityczne działają na rzecz bogatych.

Die Linke znalazła się w trudnej sytuacji, kiedy z partii wystąpiła Sahra Wagenknecht, a w ślad za nią jeszcze dziewięciu deputowanych i kilku innych polityków, tworząc nowe ugrupowanie: Sojusz Sahry Wagenknecht. Reakcja kierownictwa Die Linke były bardzo ostre: ówczesny lider frakcji parlamentarnej Dietmar Bartsch nazwał rozłam w partii niedopuszczalnym i nieodpowiedzialnym, a współprzewodniczącą Janine Wissler określiła powstanie nowej lewicowej partii mianem pijanej idei.

Wypowiedzi te są jednak, jak to się mówi, niekompatybilne z wcześniejszymi enuncjacjami liderów partii. Już w marcu 2023 r. – tj. na siedem miesięcy przed utworzeniem nowej partii – ówczesni współprzewodniczący Die Linke Janine Wissler i Martin Schirdewan mówili wprost, że chcą się pozbyć Sahry Wagenknecht, której poglądy nie pasują do linii programowej partii. „Przyszłość Lewicy to przyszłość bez Sahry Wagenknecht” – perorował Schirdewan, a Wissler wtórzyła mu: „przyszłość partii planujemy bez niej”. Wygląda jednak na to, że planując pozbycie się Sahry, liderzy partii nie przewidzieli, że nie tylko stworzy ona nową strukturę, ale także pociągnie za sobą grupę znaczących aktywistów. Ze swojej strony Wagenknecht nie szczędzi krytyki pod adresem Die Linke, twierdzi, że stała się ona kopią partii Zielonych i tylko w niektórych aspektach bardziej radykalną.

Nowa sytuacja wymusiła zmiany w samej Die Linke. Na konwencji partyjnej w październiku 2024 r. oboje przywódcy nie ubiegali się o ponowny wybór. Nowymi współprzewodniczącymi zostali: będąca dopiero od dwóch lat w partii była dziennikarka Ines Schwerdtner oraz były działacz Greenpeace’u,



specjalista od broni biologicznej Jan van Aken. Pod nowym przywództwem partia zlała wiatr w żagle.

Wagenknecht traci

Oba ugrupowania lewicowe zasadniczo nie różnią się w kwestiach polityki socjalnej, stojąc po stronie biedniejszej części społeczeństwa. Sojusz Sahry Wagenknecht, podobnie jak Die Linke, opowiada się za zmianami systemu podatkowego, a także za podwyższeniem płac i emerytur zgodnie z zasadami państwa sprawiedliwości społecznej. Zdaniem Wagenknecht stare partie socjalistyczne nie docierają do ludzi rozczarowanych, oczekujących poważnej alternatywy.

Fundamentalne różnice dotyczą natomiast podejścia do wojny na Ukrainie oraz imigracji. Bezpośrednim powodem rozstania Sahry Wagenknecht z Die Linke był diametralnie odmienny punkt widzenia na konflikt ukraińsko-rosyjski. Wagenknecht nie poparła potępiającego Rosję stanowiska Die Linke. Jest przeciw dozbieraniu Ukrainy i stosowaniu sankcji wobec Rosji, opowiada się za dyplomatycznym, a nie militarnym rozwiązaniem konfliktu. Wzywa do zniesienia ograniczeń w stosunkach z Rosją, zanim zniszczą one gospodarkę RFN. Argumentuje, iż rezygnacja z zakupu rosyjskich nośników energii doprowadziła do znacznego wzrostu ich cen, co powoduje, że ludzie cierpią z powodu rosnących rachunków za prąd i ogrzewanie. Dlatego przez niektóre publikatory określana jest jako prorosyjska i proputinowska.

Ponadto domaga się demilitaryzacji Unii Europejskiej i usunięcia z Europy amerykańskiej broni jądrowej, co jest w wyraźnej sprzeczności z militarnym kursem niemieckiego rządu, który zawarł z USA porozumienie o umieszczeniu na terenie RFN broni dalekiego zasięgu. Minister obrony Boris Pistorius twierdził, że dodatkowa amerykańska broń ma na celu zmniejszenie „poważnej luki” w zakresie niemieckich zdolności obronnych. Przewodniczący partii Wagenknecht, która uważa, że zwiększa to ryzyko wciągnięcia Niemiec do teatru działań wojennych. Kilkakrotnie też wyrażała ostre krytyczne uwagi po adresem koalicyjnego rządu Olafa Scholza, nazywając go „najgorszym rządem w historii Niemiec” i zarzucając partiom koalicyjnym, że są niebezpieczne, głupie, żądne władzy i obłudne. Jej ugrupowanie – deklarowała – będzie działać na rzecz przezwyciężenia niekompetencji i arogancji władzy.

W kontekście wojny na Ukrainie nie szczędziła też krytyki pod adresem Unii Europejskiej, twierdząc, że wśród przywódców Unii Europejskiej i wielu państw członkowskich utrzymało się błędne przekonanie, że tylko broń i dobrze wyposażona armia umożliwiają rozwiązywanie konfliktów. „My chcemy to zmienić, czyniąc zjednoczoną Europę ponownie projektem pokojowym, zgodnie z ideą, dla której powstała” – mówiła Wagenknecht. Podobnie wypowiadała się na temat NATO: twierdziła, że sojusz przyczynia się do globalnej destabilizacji poprzez stwarzanie poczucia zagrożenia.

Zdecydowany opór wobec wojennego i antyrosyjskiego kursu Die Linke skłonił ją do opuszczenia szeregów partii i założenia własnej: Sojuszu Sahry Wagenknecht (Bündnis Sahra Wagenknecht – BSW). W samej nazwie nowej formacji można by się dopatrywać pewnej megalomanii. Jednak z drugiej strony, nazwisko liderki mówi wyborcom więcej niż jakaś kolejna lewicowa nazwa. Wagenknecht bowiem niemal od początku zjednoczenia Niemiec była najbardziej wyrazistą – i przez to najbardziej znaną – postacią reprezentującą nurt radykalnej lewicy.

Jednak obok elementów wyraźnie lewicowych i pacyfistycznych w retoryce BSW pojawia się też postawa antyimigracyjna, bliska AfD, choć BSW wyklucza możliwość współpracy ze skrajną prawicą. Można mieć wątpliwości, czy izolacjonizm ocierający się o ksenofobię może być wyróżnikiem lewicy – w polityce jednak często bardziej od pryncypiów liczy się skuteczność.

Z drugiej strony, nadmierne dążenie do skuteczności grozi popadnięciem w koniunkturalizm. I w taką właśnie pułapkę dała się zapędzić Sahra Wagenknecht.

Liczyła zapewne na to, że pozyska w ten sposób wyborców, którzy mimo swych konserwatywnych i antyimigranckich poglądów nie są skłonni poprzeć twardej ksenofobicznej prawicy. Kalkulacja ta jednak zawiodła: na BSW zagłosowało 4,97 proc. wyborców. Partia Wagenknecht znalazła się zatem poniżej progu i nie weszła do Bundestagu.

Jakie będą dalsze losy BSW i samej Sahry Wagenknecht – pokaże czas. Albo zniknie ona ze sceny politycznej, albo – jak Die Linke – wyjdzie z dolki i pójdzie do góry. Niewykluczone, że pokojowe negocjacje w sprawie konfliktu na Ukrainie i perspektywa zawieszenia broni, za którymi już dawno optował BSW, mogą poprawić jego pozycję.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Trumpolandia

Jest taki stary dowcip o uczniu jubilera. Mistrz jubilerski, któremu powierzono bezcenny diament z zamówieniem na kolczyki, przekazuje kamień uczniowi z poleceniem: „Kaziu, jebnij to na pół, lepiej, żeby było równo”. Właściciel diamentu błędnie z przerażenia, a mistrz tłumaczy: „Mnie może ręka zadrzeć, ale ten debil nie wie, z czym ma do czynienia”. Dowcip nie ma ciągu dalszego – nie wiadomo, jakie szkody poczynił debilny czeladnik w brylancie – co wydaje się dość stosownym nawiązaniem do Donalda Trumpa i jego administracji.

Szkody, jakie puszczony wolno niedorozwinięty emocjonalnie miliardier robi w federalnej administracji, są póki co niewycenione – choć Bernie Sanders oblicza, iż zapowiadane przez niego wywalenie połowy personelu Social Security, czyli amerykańskiego ZUS-u, spowoduje, że 37 tys. Amerykanów więcej rocznie umrze w kolejce do świadczeń dla niepełnosprawnych, a średni czas oczekiwania na takie świadczenie wzrośnie do 412 dni. Wiemy natomiast, jakie szkody swawole Muska wyrządzają jego własnej (choć posiadającej akcjonariuszy) firmie. Ostatnie informacje są takie, że chiński producent samochodów elektrycznych BYD, który przy wchodzeniu na rynek śmieszył Muska do łez, sprzedał w zeszłym roku elektryków za 107 mld dolarów, podczas gdy Tesla za 97,7 mld. Dodatkowy efekt muskowej aktywności politycznej jest taki, że Trump kazał agencjom FBI i ATF (Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych) powołać specjalną grupę śledczą do spraw ataków na salony i samochody Tesli, które szef FBI Kash Patel określił mianem „krajowego terroryzmu”, a Fox News opisuje jako „haniebne akty przemocy”. Żadna grupa do zadań specjalnych nie rozwiąże za to problemu bojkotu konsumackiego: w USA sprzedaż Tesli spadła o 11 proc; w UE – o 49. Za to dotychczasowi posiadacze sprzedają „Swasticy” na potęgę – trochę dlatego, że kupowali je w ramach progresywnej deklaracji troski o środowisko i poparcia dla postępu, a trochę dlatego, że boją się wandal. Smutek.

W ostatnim tygodniu Elon Musk został jednak przyćmiony przez doradcę Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego Michaela Waltza, który przez pomyłkę dodał naczelnego antytrumpowego magazynu „The Atlantic” do czatu, w którym najbliżsi współpracownicy lidera wolnego świata planowali atak na Huti w Jemenie. Czat odbywał się na komunikatorze Signal, który jest bezpłatny, ogólnodostępny i gwarantuje wysoki poziom prywatności, ale z całą pewnością nie jest elementem rządowego systemu tajnej komunikacji. Naczelny Jeffrey Goldberg nie mógł uwierzyć w swoje szczęście i pieczołowicie dokumentował konwersację za pomocą zrzutów z ekranu. Udokumentował m.in. wypowiedzi następujące: „Nikt nie wie, kim są Huti – dlatego musimy skupić się na: 1) Biden zawiódł i 2) Iran sfinansował” (Pete Hegseth, sekretarz ds. obrony); „Trzeba tylko ustalić, w jaki sposób obliczyć koszty i jak obciążyć nimi Europejczyków” (Michael Waltz, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, który dołączył dziennikarza do czatu); „Jak myślisz, że trzeba to zrobić, to róbmy. Ale szlag mnie trafia, że znowu musimy ratować Europę” (J.D. Vance, wiceprezydent); „W pełni podzielam twój wstręt do europejskiego paszowictwa. To ZAŁOSNE” (Hegseth; szef Pentagonu użył terminu *free-loading*, który dosłownie oznacza jazdę na gapę, ale jest znacznie bardziej obelżywy).

Po ataku dygnitarze administracji Trumpa wyrażali swój entuzjazm za pomocą emotikonów: zaciśnięta pięść, amerykańska flaga, płomień, dłonie złożone do modlitwy, napięty biceps i spora liczba amerykańskich flag. Kiedy mleko się wylało, ci dojrzały politycy, odpowiedzialni za bezpieczeństwo wolnego świata, skupili się na leniu dziennikarza – choć żaden nie podważył autentyczności konwersacji. Ogłosili za to, że planowanie ataku amerykańskich sił specjalnych na obcy kraj nie jest tajne, albowiem sekretarz Hegseth jest gospodarzem klauzuli tajności i wcale jej tej konwersacji nie nadał, więc odbicie jej na ogólnodostępnym komunikatorze nie było nielegalne. Donald Trump dodał ponadto, że jest to wina niewskazanego z nazwiska urzędnika niskiego szczebla.

Okazało się też, że sukces administracji Trumpa w sprawie porozumienia Rosja–Ukraina jest połowiczny. Tj. Ukraina uważa, że porozumienie dotyczące bezpiecznej żeglugi na Morzu Czarnym i zaniechania ataków na obiekty energetyczne weszło w życie z chwilą ogłoszenia go przez Białą Dm; Rosja natomiast oświadczyła, że wprowadzi je w życie pod warunkiem zniesienia sankcji wobec Roselchozobanku – Rosyjskiego Banku Rolnego – oraz podłączenia go z powrotem do systemu SWIFT. Przypomnijcie mi: jak się nazywało opus magnum Donalda Trumpa? „Art of Deal”?

AWŁ



Kuce z Konfy tropią Murzyna

Incele wszystkich krajów, łączcie się!

13 marca na platformie Netflix zadebiutował serial „Dojrzewanie”. Banalna zdawałoby się historia 13-letniego Jamiego Millera oskarżonego o morderstwo szkolnej koleżanki natychmiast rozbiła bank popularności. Obraz będący dla przeciętnego widza interpretacyjnym problemem, punktem wyjścia do dyskusji nad współczesnymi nastolatkami zza wyrwy pokoleniowej, posłużył prawicy za pretekst do pompowania zupełnie innej bańki.

Ale kino

O „Dojrzewaniu” można pisać wiele i powinno się pisać tylko dobrze. Czteroodcinkowy miniseria brytyjskiej produkcji wbija w fotel brutalnością odwróconego porządku, w którym dorośli boją się dzieci, bo te ustanawiają własne zasady społeczne, od których marszczy się dupa. Oto rodzice głównego bohatera i pracownicy najróżniejszych instytucji, w tym policji, starając się znaleźć motyw zbrodni, odkrywają toksynę internetu i rozpanoszone w sieci zatracie przemocą wyrosła na ideologii manosfery. Zamordowana nastolatka to tylko sylwetka na zapisie ulicznych kamer, zdjęcie okazane w trakcie przesłuchania, wreszcie stos kwiatów na miejscu zbrodni. Prawdziwą gwiazdą jest jej kat – ofiara niskiej samooceny i świata zbudowanego na kobiecej perspektywie. W filmie nowa odsłona starej jak świat mizoginii zrzeszającej chłopców i mężczyzn sfrustrowanych niepowodzeniami w związkach i randkowaniu, pod świeżymi szyldami red pill i black pill, dostaje twarz 13-latką, który wyjaśnia policyjnym terapeutce zasadę 80/20, wedle której 80 proc. kobiet zwraca uwagę na zaledwie 20 proc. mężczyzn.

Blackpillowcy twierdzą, że relacje między płciami są całkowicie zdeterminowane przez atrakcyjność zewnętrzną, dlatego mężczyźni pozbawieni urody zamiast liczyć na współzucie samicy, mogą co najwyżej w samotności zmarszczyć fujare. Serialowy Jamie na fali gówniarskich zagrywek w internetowych social mediach dostaje łatkę takiego właśnie incela, który nie ma szans w dżungli naturalnego doboru. Wskutek frustracji spętogowanej równieśniczą szyderą postanawia wyeliminować jedną z koleżanek biorących udział w okrutnej grze. Obrazem zainteresował się brytyjski premier Keir Starmer i środowiska prawicowe, w tym polska Konfederacja. Każde z własnych powodów.

Starmer wyraził życzenie, by „Dojrzewanie” było prezentowane w szkołach i parlamencie. Jego zdaniem serial powinien zainicjować szeroko zakrojoną dyskusję na temat współczesnych patologicznych wzorców męskości oraz bezpieczeństwa młodocianych obywateli w sieci. Intencje owszem szlachetne, niestety zła wiadomość jest taka, że dzieci doskonale radziły sobie z inicjowaniem

przemocowych zachowań przed erą internetu, bo przemoc to język systemu, w którym ludzkość funkcjonuje od stuleci, i żeby zneutralizować zrakowaciałą tkankę, trzeba sięgnąć znacznie głębiej.

Środowiska prawicowych ekstremistów będące matecznikiem wspomnianej manosfery wysnuły z seansu zgłoś inne wnioski i zamiast debaty nad problemami modeli wychowania rozkręciły korbę w zupełnie inną stronę.

Walczący o rasowo czystą Europę tradycjonaliści uszyli naprędce narrację sugerującą, że Netflix z ideologicznych pobudek zmienił kolor skóry nastoletniego mordercy z serialu, bo odgrywający rolę chłopak jest biały.

Złośliwi mogliby powiedzieć, że naciągana przez platformę streamingową do granic absurdów poprawność polityczna zebrała równie brunatne żniwo, ale nie tym razem.

Odcienie czerni

„Netflix stworzył serial oparty na prawdziwej historii z Anglii o nieletnim chłopcu, który zabija nożem. Pomijam genialną grę aktorską tego chłopaka. Przyjrzyjcie się zdjęciom. Powyżej aktor, poniżej prawdziwi zabójcy. Ciekawe, prawda?” – napisał w social mediach Konrad Berkowicz, publikując zdjęcia Owena Coopera oraz dwóch czarnoskórych nastoletników, a w ślad za nim wpis wiernie spapugowali m.in. Natalia Kloc, Ryszard Wilk i Przemysław J. Binkowski z Konfederacji.

skarzał buntownika drogowego na dwa lata bezwzględnej odsiadki. 11 razy zabierać prawo jazdy? Ktoś naprawdę musiał się na nie szczególnie w tej policji albo sądzie uprzeć. Istotne jest to, że chłop nie jeździ dla papierka, tylko z powołania.

■ Trzech czujnych jak radar posłów PiS i jedna równie zaniepokojona posłanka postanowili zabłysnąć interpelacją do ministra infrastruktury. Tematem ich głębokiego zatroskania stał się zakup mebli ogrodowych za prawie 4,5 mln zł przez Polską Agencję Żeglugi Powietrznej. Z wyraźnym niedowierzaniem pytają, czy ekskluzywne ławki i leżaki to teraz nowy filar bezpieczeństwa lotów? Czyżby nowa strategia agencji zakładała, że pilotom lepiej się lata, gdy kontrolerzy opalają się w stylowych altankach? W imieniu pana ministra śpieszymy z wyjaśnieniem dla niedoinformowanych: agencja wydała, ale polscy producenci mebli zarobili. Tak, tak, to się nazywa wspieranie rodzimego przemysłu, a nie tylko siedzenie w sejmie i pisanie interpelacji z oburzoną miną. Bycie posłem jednak zobowiązuje do holistycznego spojrzenia na państwo i gospodarkę.

■ Wójt gminy Chojnice Zbigniew Szczepański twierdzi, że dzieci w gminie jest jak na lekarstwo. Gdyby kierował się wyłącznie rachun-

kiem ekonomicznym, dwie szkoły należałoby zamknąć. Dodaje, że utrzymanie jednej klasy – niezależnie od liczby uczniów – kosztuje samorząd około 250 tys. zł rocznie. – Nie spodziewaliśmy się, że kształcenie w gminie Chojnice jest aż tak kosztowne, zwłaszcza że mówimy o poziomie podstawowym – komentują samorządowcy.

■ Funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego Policji oraz Krajowej Administracji Skarbowej rozbili zorganizowaną grupę przestępczą, zatrzymując 52 osoby zamieszane w tzw. karnuzelę VAT-owską. Przestępcy operowali granulatami tworzyw sztucznych oraz siarczanem miedzi. Wprowadzono fałszywe faktury VAT o wartości 1 mld 134 mln zł, z czego sam VAT wynosił ponad 200 mln zł. Trudno uwierzyć, że tego rodzaju schematy wciąż działają. Piramidy VAT-owskie wydawały się już przeszłością. To przypomina czasy, gdy naciągano ludzi na domowe składanie długopisów, zarabiając na ich naiwności. Niektóre mechanizmy społecznej łatwowierności najwyraźniej pozostają poza granicami racjonalnego zrozumienia.

■ W Krakowie „ugotowano” rzekę Drwinkę. Niestety, źle się to skończyło dla ryb – one też zostały ugotowane. A przecież wiadomo, że ryby najlepiej smakują smażone. Za „gotowanie” odpowiada Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej, które tłumaczy, że owszem – woda, którą spuścili do rzeki, była gorąca, ale za to... czysta. No cóż, to faktycznie zmienia postać rzeczy. Pozostaje tylko życzyć filetom szybkiej adaptacji do zmieniającego się klimatu.



Jednym z przywołanych w poście nastoletnich przestępców jest Hassan Sentamu, który w 2023 r. w wieku 17 lat śmiertelnie podziurawił nożem 15-letnią Elianne Andam w południowym Londynie. Chłopak został wcześniej porzucony przez przyjaciółkę Elianne i kiedy pewnego dnia zobaczył w mieście obie dziewczyny, rzekomo podczas podróży innych chłopaków, miał powiedzieć koledze, że nie może puścić płazem takiego braku szacunku. Sentamu i jego urażony testosteron resztę swoich dni spędzą za kratami.

Na kolejnej fotografii można zobaczyć Axela Rudakubane, 17-letniego nożownika, który w lipcu 2024 r. wparował do domu kultury w mieście Southport w północno-zachodniej Anglii i wyprawił na drugą stronę dywanu trzy małe dziewczynki. Dowcip w tym, że choć twórca serialu inspirował się prawdziwymi doniesieniami na temat prze-

stępczości w Wielkiej Brytanii, obraz nie jest fabularyzacją żadnej konkretnej sprawy kryminalnej. Co więcej, serial zapowiedziano w marcu 2024 r., a więc cztery miesiące przed atakiem Rudakubany. Dodatkowo według danych traktujących o przestępczości wśród młodzieży dostępnych na brytyjskich stronach rządowych w żadnych statystykach nie przodują dalecy od świeżkiego odcienia skóry obywatele. Nie szkodzi. Chodzi przecież o huk, a nie o zająca. I cel osiągnięto.

Powstanie inceli

Naturalnie nie należy przeceniać Konfederacji w zasługach. Podłana hitem Netflixa rasistowska nagonka nie była inicjatywą z kraju nad Wisłą. Kolportowana przez wszystkie długości i szerokości internetu idea rasowej mistyfikacji platformy streamingowej wypełzła z kilku źródeł, ale z tego samego kanału ideologicznego. Wybitny w rozmiarach zasięg powyższego przekazu (198 tys. polubień) osiągnął post Keitha Woodsa, irlandzkiego komentatora, pisarza, działacza politycznego i nacjonalisty związanego z ultrakonserwatywną prawicą, znanego z krytyki globalizacji i wielokulturowości. Motyw dobrze zassał i prędko wypiętrzył przekonanie, że brytyjskie lewactwo fantastycznie manipuluje opinią publiczną, bo przemoc wśród dzieci nie ma twarzy filmowego Jamiego, tylko Sentamu i Rudakubany. Serial zaś jest topornym kawałkiem rządowej propagandy mającym posłużyć jako pretekst do zacieśniania cenzury w sieci. Ucieszyli się również wyznawcy manosfery, którzy nakręceni prawicową propagandą żyją w przekonaniu, że gdyby wyeliminować ze społeczeństwa męski kapitał o hebanowym odcieniu skóry, wreszcie mieliby szansę u białych Europejki i mogliby zamoczyć.

O ile żadne socjopatyczne zaburzenia o agresywnym charakterze nie są przypisane do konkretnej rasy, o tyle historia mordów zainicjowanych przez toksyczne rewiry manosfery ma całkiem bogatą kartotekę. W maju 2014 r. w Kalifornii w USA 22-letni Elliot Rodger zabił sześć osób i ranił 14 innych, po czym popełnił samobójstwo. Przed atakiem opublikował manifest „My Twisted World” oraz filmy na YouTube, w których wyrażał nienawiść do kobiet za seksualne i romantyczne odrzucenie jego osoby, a także zazdrość wobec mężczyzn, którzy odnosili sukcesy w takich relacjach. Cztery lata później w Toronto w Kanadzie 25-letni Alek Minnassian wjechał furgonetką w tłum ludzi, wskutek czego zabił 10 osób (w większości kobiety) i ranił 16 innych. Tuż przed atakiem opublikował na Facebooku post, w którym wychwalał Elliota Rodgera i ogłaszał „powstanie inceli”.

To tylko dwa z wielu przykładów, które pokazują, jak poważne zmiany zachodzą w tkance społecznej na całym świecie i do czego może doprowadzić radykalizacja poglądów prezentowanych przez ruchy próbujące upiec swoją pieczęć na problemie kryzysu męskości. Z czego ten kryzys wyrasta i dlaczego wciąż ma się dobrze, opowiada właśnie „Dojrzewanie”.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Wywiadowcy z Komendy Miejskiej Policji w Opolu wspierani przez dzielnych funkcjonariuszy z Ożimka dokonali spektakularnego zatrzymania 30-letniej kobiety podejrzanej o zabójstwo 43-letniego mężczyzny. Dowody? Denat z nożem w brzuchu i odciski palców podejrzanej na rękocyf. W chwili zatrzymania podejrzana miała prawie dwa promile alkoholu we krwi, czyli – jak wiadomo – w polskich realiach to już prawie samoistne przyznanie się do winy.

■ Policjanci z ostródzkiej patrolówki zatrzymali do rutynowej kontroli kierowcę Fiata Ducato. Badanie wykazało prawie 0,5 promila alkoholu. Zatrzymanym okazał się 33-letni miłośnik czterech kółek, który od 2016 r. ma dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. A że najwyraźniej ma alergię na zakazy, to przez te lata dorobił się już – uwaga! – 11 nowych sądowych zakazów prowadzenia. Sąd z westchnieniem





Fot. IDALIA DUBICKA

Bałka, Sasnal i pisowska inkwizycja



Fot. IDALIA DUBICKA

Nie takie MSN straszne, jak je prawacy malują

Muzeum Sztuki Nowoczesnej (MSN) w Warszawie zdobyło właśnie prestiżowe miejsce na liście „World’s Greatest Places”, czyli najciekawszych miejsc na świecie, które warto zobaczyć w 2025 r., opublikowanej w magazynie „Time”. Bez wątpienia większą zachętą do odwiedzenia otwartego w październiku ubiegłego roku muzeum jest systematyczne opluwanie go przez polską pravicę i obrzydzanie nim kandydatury platformianego prezydenta Warszawy na prezydenta Polski, czyli Rafała Trzaskowskiego. Postanowiłam zajrzeć do warszawskiego kontenera, żeby wkurwić pisowców i przy okazji sprawdzić, co naprawdę kryje się pod politycznym gruzem.

Modernistyczna architektura warszawskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej przy ul. Marszałkowskiej stała się częścią bitwy kulturowo-politycznej. Zdanie rodaków o nagiej fasadzie budynku od miesiąca jest dyskutowane równie głośno jak homoseksualność, innowierstwo i sympatie wobec producentów majonezu.

Dla prawej strony architektura MSN to wygodny temat drażniący, bo obywatel zapytany naprędce o zdanie, to, co piękne, skojarzy z architekturą klasyczną lub tradycyjną. Formy nowoczesne dlatego są idealnym narzędziem do dyskredytowania wszystkiego, co liberalne, bo jeśli trzeba się nad nimi głębiej zastanowić, znaczy, że muszą być fanaberia, a Polacy czasu na bzdety nie mają. Pal sześć, że modernizm to też klasy-

ki – wystarczy przywołać obiekty Miesa van der Rohe czy Le Corbusiera. Późny to jednak trud i żaden argument w dyskusji z pisowcami, w dodatku obarczony pewną dozą niebezpieczeństwa, bo dwa obco brzmiące męskie nazwiska w jednym rzędzie to nie tylko element alochtoniczny, ale przy okazji trąci gojezoą.

Kolejnym bodźcem mobilizującym przeciwników MSN jest koszt jego budowy. Co prawda 700 baniek ze stołecznego budżetu wypada błado przy 1,2 mld zł z państwowej kasy za budowę i przygotowanie wystawy stałej warszawskiego Muzeum Historii Polski, która to inwestycja nabrała tempa za rządów Prawa i Sprawiedliwości w latach 2015–2023, a przy okazji ma ten sam język architektoniczny co wytykane palcami Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Ale nie warto o tym wspominać, kiedy w centrum stolicy stoi „pomnik warszawskiej prezydentury Rafała Trzaskowskiego”, jeśli wierzyć pisowcom. Wypełniony „pomnikami przyjaźni polsko-radzieckiej i meblami z Ikei”, że zacytuję Radosława Fogla i Sebastiana Kaletę, którzy do muzeum poszli, ale im się nie podobało. Szkoda, że nie rozejrzeli się po wnętrzu uważnie, wyszliby wówczas z placówki nie tyle rozbawieni, co zwyczajnie wkurwieni.

Obiekt zbudowano na podstawie projektu amerykańskiej pracowni Thomas Phifer and Partners. Najbardziej znanym dziełem nowojorskiego architekta Thomasa Phifera jest Muzeum Sztuki Karoliny Północnej (NCMA) w stolicy stanu, mieście Raleigh. Ekspozowane są tam m.in. dzieła Giotta, Botticellego, Moneta czy Henry’ego Moore’a.

Gdyby europoseł Suwerennej Polski Patryk Jaki (który w ciągu 24 godzin od otwarcia MSN wyprodukował aż siedem elaboratów o koszmarnym w jego mniemaniu budynku) nie gardził architektoniczną koncepcją i znajomością języka angielskiego, być może poskarżyłby się samemu projektantowi, że w MSN jego projektu zamiast Botticellego są dzieła jakiegoś Bałki i Sasnala, a powinny być – Marka Suskiego.

się akwariów, w którym mieszkała 40-letnia pirania Kasia. Ryba o imponujących rozmiarach (wagaćca niemal 20 kg) była symbolem placówki. Jak informuje kierownictwo muzeum, sytuacja wymagała natychmiastowej reakcji ze strony pracowników. Obecnie Kasia tymczasowo przebywa w... wannie. Ale wkrótce zamieszka w nowym przestronnym akwarium o pojemności ponad 4 tys. litrów, które zapewni jej komfort i dobre warunki na kolejne dekady życia.

■ Eksperti motoryzacyjni utyskują, że Polska znajduje się w czołówce krajów z najstarszymi samochodami w Europie. Średni wiek auta w naszym kraju to prawie 16 lat – o niemal cztery lata więcej niż unijna średnia, która wynosi 12. W 2024 r. padł też rekord: do Polski sprowadzono aż 967,5 tys. używanych samochodów, co oznacza wzrost o ponad 20 proc. względem roku poprzedniego. Na to odpowiadamy krótko: i bardzo dobrze. 16-letnie auto? Ekologiczne (bo już wyprodukowane). Łatwe w naprawie. Tanie w utrzymaniu. I co najważniejsze – jeździ. W przeciwieństwie do wielu nowoczesnych cudów techniki, które potrafią zepsuć się, jeszcze zanim opuszczą salon.

■ Fabryka łożysk Tocznich w Kraśniku ma długą historię. Przed wojną produkowano tam amunicję, a po wojnie łożyska toczne. W 2013 r. zakład został sprzedany chińskiemu inwestorowi z powodu przerostu zatrudnienia (ponad 2 tys. pracowników) i niskiej efektywności. Sprzedaż odbyła się – jak to się mówi – bez jednego wystrzału. Chińczycy działający pod marką Tri-Ring (co oznacza trzy obręcze), w ciągu 12 lat zredukowali zatrudnienie o połowę. Mimo to, jak twierdzą, wciąż im się to nie oplaca. Ostatnio planowali zwolnienie kolejnych 120 osób, ale po negocjacjach ze związkami zawodowymi liczba ta została zmniejszona do 86. Dodajmy tylko, że chiński właściciel pochodzi z Wuhan – miasta, które od kilku lat budzi niezbyt przyjemne skojarzenia.

■ Jak informuje Tatrzański Park Narodowy, w Tatrach przybywa niedźwiedzi. Ile dokładnie, tego nie wiadomo, bo nie chcą dać się policzyć. Ale jedno jest pewne: przybywa. Ostatnio aż trzy osobniki spacerowały sobie ulicą Bogdańskiego – w sercu Zakopanego. Niedźwiedzie są znacznie bardziej niebezpieczne niż dziki (które, jak wiemy, też nie słyną z delikatności), choć wciąż trochę mniej niż tygrysy. Dlatego wszystkim, którzy cenią swoje życie i zdro-

wie, zaleca się omijanie Zakopanego szerokim, bardzo szerokim łukiem.

■ Dr inż. Przemysław Brzyski z Politechniki Lubelskiej oraz przedsiębiorca mgr inż. Tomasz Bujnowski opracowali nowatorskie bloczki ściennie z konopi przeznaczone do budowy domów. Aby uruchomić produkcję na większą skalę, konieczne byłoby obsianie setek tysięcy hektarów pól konopnych na Lubelszczyźnie. Same rośliny w trakcie wzrostu pochłaniają ogromne ilości dwutlenku węgla, co oznacza, że mamy do czynienia z materiałem budowlanym o tzw. ujemnym śladzie węglowym, czyli takim, w którego produkcji pochłanianie się więcej CO₂, niż się emituje. Uznajmy więc, że sukces tego przedsięwzięcia i społeczne poparcie to kwestia murewana. Nie chodzi tylko o budownictwo i ekologię, ale te inne przemilczane aspekty uprawy ziola.

■ Jak donoszą anonimowi eksperci z Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Małopolskiego, nasza rodzima pustynia Błędowska jest w poważnym niebezpieczeństwie. Przez quady. Według ekspertów „niekontrolowany ruch pojazdów silnikowych” prowadzi do „trwałego uszkodzenia piasku”. A piasek na polskiej

Niby w jednej z sal siedzi papież, ale na pewno nie Polak, bo czarny, owca obok też jakby w smole wytarza – na, więc pewnie diabeł. Są krzyże, ale pomodlić się pod nimi nie da, bo po pedalsku kolorowe i ktoś powiesił na nich pranie.

Na wejściu znowu komuna, pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej, neomarksizm pewnie, w kościele o tym mówili. Ekspozatów są ponad dwa tysiące i co jeden to gorszy. Kultura sama w sobie to fanaberia oderwanych od rzeczywistości elit Warszawy, a to nawet koło kultury nie stało – tak to widzę, gdy miałem w głowie dziesiątki wypowiedzi prawej strony.

„Wyszło fatalnie – tak jak wszystko po 13 XII 2023, gdy mierni ludzie z kompleksami wobec zachodu budują nam dyktaturę ciemniaków i zapadające się państwo o wschodnim ryśie” – napisał ongiś o MSN Oskar Szafarowicz, tylko pojechał mu się kierunki. To prawica wmawia klasie robotniczej, Polsce powiatowej, tym którzy Warszawę znają z pocztówek i sympatykom dzieł w stylu „Chrystusa kroczącego po wodzie” z samej stolicy, że są niewystarczająco inteligentni, żeby wyrobić sobie własną opinię. Nie o to chodzi, co się komu podoba, bo każdy może zabrać głos w debacie. Prawicowi krytycy przejęli rolę inkwizytorów i arbitrów gustu, zdeptując przy okazji emancypację niższych w swym mniemaniu warstw społecznych, by zabetonować zakłętą krąg uprzywilejowania i podziału na lepszych i gorszych.

Osobiście zachęcam czytelników „NIE” do wizyty w muzeum. Dla dopieszczenia kulturalnych zmysłów i na pohybel pisiej inkwizycji.

IDALIA DUBICKA

Saharze jest bardzo delikatny. Każde przejechanie quadem to zniewaga wobec ziarenek krzemu. Quady rozjeżdżają ptasie jaja i – w jednym udokumentowanym przypadku w ciągu ostatniego stulecia – nawet jakiegoś człowieka. „Precz z quadami!” – gardlują eksperci. „Precz z ekspertami!” – pyskują quady. I tak trwa piękna, pełna wzajemnego zrozumienia wymiana myśli.

■ W marcu w kanadyjskiej sieci fast foodów Burger King na terenie Polski pojawiła się nowa kanapka. Plant-Based Bao Burger, która łączy plant-based kotlet z egzotycznym sosem teriyaki o aromacie pomarańczy, z dodatkiem świeżego ogórka i czerwonej cebuli oraz rozszponki. Całość zamknięta jest w bulce bao. Jeżeli ktoś kiedyś będzie chciał napisać podręcznik pt. „Jak pogrzebać sensowny produkt pod toną marketingowego belkotu i nieprzekonującej reklamy”, to Burger King już powinien trafić na okładkę.

RJ

PS Informacje pochodzą z lokalnych mediów i portali internetowych, które bardzo chciałyby uchodzić za miejskie, a może nawet stołeczne. Za ich prawdziwość nie możemy ręczyć – to byłoby z naszej strony działanie zbyt odważne... a może po prostu zbyt nieodpowiedzialne.

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ 19 marca Sąd Rejonowy dla Warszawy Śródmieścia, z uwagi na brak znamion czynu zabronionego, umorzył postępowanie karne o czyn z art. 196 kk (obrazu uczuć religijnych) przeciwko osobom, które podczas Parady Równości w czerwcu 2019 r. odprawiły ekumeniczną mszę. W ocenie sądu w Polsce funkcjonują również inne niż katolickie wyznania, a ich obrzędy mogą przebiegać w podobny sposób. Prawo karne zaś nie może służyć ściganiu mniejszości religijnych.

➤ Wrocławską prokuraturę rejonową prowadzi śledztwo w sprawie wykorzystania seksualnego parafianki przez księdza Kazimierza. Oskarżony przez kobietę duchowny to były prorektor Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu i dyrektor Instytutu Teologii Systematycznej. Od 1990 r. pracuje w parafii na wrocławskich Popowicach, prowadził tam również Wspólnotę Rodzin Katolickich. Według ustaleń śledczych klecha miał doprowadzić do obcowania płciowego, wykorzystując bezradność pokrzywdzonej, która wyraziła zgodę na współżycie, ale jako osoba w trudnej sytuacji życiowej mogła nie być w pełni świadoma podejmowanej decyzji. Sprawa jest w toku.

➤ Polski krajobraz wzbogacił się o nową atrakcję sakralną – Matkę Boską Cudownie Zdziwioną. W miejscowości Studzionka nieopodal Pszczyny nieznanymi sprawcami samowolnie odnowił liczącą ponad 200 lat przydrożną kapliczkę. Dzięki dzięki renowacji scena obrazująca mękę Chrystusa i cierpienie Matki Boskiej straszły stylistyką krasnali ogrodowych. Śląska kapliczka została wykonana w 1820 r. i jest wpisana do rejestru zabytków, zatem wszelkie zmiany w jej obrębie musi zaakceptować konserwator. Mirosław Rymer, rzecznik śląskiego konserwatora zabytków, zapowiedział kontrolę artefaktu w celu zbadania, jak głębokiemu zniszczeniu uległa figura. Zostawić gdzieś katolików bez dozoru, to zaraz narobić szkód...

➤ Jak donoszą wiewiórki, skazany za ośmioletnie wykorzystywanie seksualne siostrzenicy ks. Marek W. z archidiecezji krakowskiej złożył prośbę o ulaskawienie, pozwalając się na zły stan zdrowia. Duchowny został skazany na cztery lata pierdła w 2022 r., a do aresztu trafił dopiero w kwietniu 2024 r. Pierwsze posiedzenie w sprawie ulaskawienia odbyło się 27 lutego 2025 r. Sąd zaopiniował wówczas prośbę negatywnie. Z uzasadnienia decyzji wynika, że ks. W. do tej pory nie pogodził się z zasądzonym wyrokiem i mimo odbywania kary w więzieniu nie wyraża skruchy. Teraz akta sprawy wraz z negatywną opinią trafią do Sądu Okręgowego w Krakowie, który skazywał księdza w drugiej instancji. Jeśli ta opinia również będzie negatywna, prośba o ulaskawienie pozostanie bez dalszego rozpatrzenia. Jeżeli sąd odniesie się do wniosku pozytywnie, sprawa trafi do prokuratora generalnego, który prośbę o ulaskawienie przekaze bezpośrednio prezydentowi RP.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

➤ Krewny poznańskiego biskupa pomocniczego Grzegorza Balcerka, ksiądz Mateusz Napierała, który od siedmiu tygodni powinien odsiadywać karę więzienia za molestowanie 13-latkę, rozplynął się w powietrzu. Ostatnie miejsce, w którym przebywał 42-latek, to dom księży emerytów pod Poznaniem, gdzie mimo postawionych zarzutów urzędował jako dyrektor. Jak informują służby, skazanego klechy nie ma pod wskazanym adresem od tygodni. Oburzenia sprawą nie kryją sami duchowni, którzy założyli na komunikatorze grupę o nazwie „Gdzie jest Mateusz?”, na której nabijają się z kolegi, sugerując, że ucieczka pedofila – podobnie jak jego kariera – były możliwe dzięki koneksjom rodzinnym. Śledczy podejrzewają, że poszukiwany ks. Mateusz wygrzewa się pod palmami. A mówią, że jak trwoga, to do Boga...

KLECHA

Wieści na pozytywce pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Wywalenie w błoto niemal 2 mld zł na igrzyska europejskie niczego nas nie nauczyło



Najwyższa Izba Kontroli zajęła się igrzyskami europejskimi i wyszło jej, że przekrety byli, ale niewielkie. To zaś oznaczałoby, że Marian Banaś jako fan sportu nie miałby nic przeciwko temu, żeby – jak chcą Duda, Tusk i Nitras – Polska zorganizowała kiedyś tam letnią olimpiadę. Bo jak inaczej zrozumieć to, że izba wypunktowała, że przed rozpoczęciem starań o zorganizowanie imprezy nikt za nią odpowiedzialny nie sprawdził, co i za ile trzeba zrobić? Bilansu kosztów i korzyści nie przeanalizowali ani samorządowcy, ani przedstawiciele rządu, w tym minister aktywów państwowych, który był jednocześnie pełnomocnikiem ds. igrzysk, a także spółka Igrzyska Europejskie 2023, która pełniła funkcję komitetu organizacyjnego.

Izba czepiła się tego, że w styczniu 2022 r. potrzeby finansowe związane z organizacją imprezy, ale bez inwestycji sportowych i infrastrukturalnych, oszacowano na 400 mln zł. Tymczasem według złożonych przez spółkę rozliczeń poszło na to 423,5 mln zł.

Gdyby jednak doliczyć pieniądze wydane na inwestycje, to koszt igrzysk wyniósł co najmniej 1,67 mld złotych. Ludziom Banasia nie spodobało się to, że przeznaczono na ten cel kasę z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19. Nikt nie zwrócił uwagi, że rozliczenia może i były w porządku, ale same igrzyska były skokiem na pieniądze polskiego podatnika.

Szachy finansowe

Kraków został organizatorem igrzysk europejskich 2023 w połowie 2019 r. Miasto było bezkonkurencyjne, choćby z tego powodu, że nikt inny

Pierwsze deklaracje po nominowaniu Krakowa dotyczyły przeznaczenia przez rząd na inwestycje 1,6 mld zł. Przez dwa i pół roku żaden minister nie kiwnął jednak palcem. Wszyscy liczyli na to, że krakowska przygoda z igrzyskami europejskimi skończy się jak planowana w tym mieście na 2022 r. olimpiada zimowa. Za nią też byli rząd i Majchrowski. Okoniem stanęli aktywiści, którzy dziesiątkami protestów zmusili władze Krakowa do przeprowadzenia w 2014 r. lokalnego referendum. Do wzięcia udziału uprawnionych było 585 140 osób. W głosowaniu wzięło udział 210 441 osób – 35,96 proc., co oznaczało, że referendum było ważne. Ponad 143 tys. mieszkańców Krakowa opowiedziało się przeciwko organizacji zimowych igrzysk olimpijskich w mieście.

Morawiecki liczył, że i tym razem będzie tak samo. Nie docenił jednak Majchrowskiego. Chrapka prezydenta Krakowa na rządową kasę inwestycyjną była na tyle duża, że tym razem nikomu nie dał się ogrzać. Zrezygnował z gry komitet Mieszkańcy Przeciwko Igrzyskom, pod którym to szyldem zjednoczyli się przedstawiciele partii Razem, PPS, Nowoczesnej, partii Zieloni, klubu Kraków dla Mieszkańców w Radzie Miasta Krakowa z ultraliberalnym Łukaszem Gibałą oraz aktywiści z Akcji Ratunkowej dla Krakowa Stowarzyszenia Ulepszamy Kraków!, Towarzystwa na Rzecz Ochrony Przyrody, Stowarzyszenia Przestrzeń-Ludzie-Miasto i Stowarzyszenia Funkcja Miasto. Po prostu wykorzystał to, że organizacje te bardziej nienawidzą siebie nawzajem niż Majchrowskiego i sojusz nie dość, że podzielił, to jeszcze rozsadził go od środka.

Rząd był na taki obrót sprawy przygotowany, by nie powiedzieć, że akcję monitorował. Specustawę dotyczącą igrzysk sejm uchwalił 2 grudnia 2021 r., a prezydent podpisał ją 15 dni później. W tym dokumencie nie wskazano jednak inwestycji związanych z igrzyskami i kwot, jakie rząd zamierza na nie przeznaczyć.

Po wygraniu batalii z opozycjonistami Majchrowski przystąpił do zagrywki z rządem. Wiedział, że nie wolno mu na nic się zgadzać, dopóki nie zobaczy na oficjalnych kwitach kasy dla Krakowa. Rząd nie mógł Majchrowskiego ominąć, bo prezydent miasta musiał podpisać umowę z europejskimi

Jakimś cudem igrzyska jednak się odbyły. O 253 komplety medali w 29 dyscyplinach rywalizowało 6,4 tys. sportowców z 48 państw. Tego, że się udały, powiedzieć nie można, bo z powodu braku zainteresowania do Krakowa i Małopolski żaden kibice nie przyjechali, a turyści – bojąc się natłoku kibiców – też nie.

Oczywiście o efekcie barcelońskim też nie ma co mówić, bo Krakowowi był on do niczego niepotrzebny. Miasto dostało od rządu pieniądze na kilka obiektów sportowych, które nieszczerłonie się Krakowianom przydają, ale są.

Zaden z kluczowych polityków nigdy nie zakwestionował sensowności tej imprezy. Po prostu politycy kochają grzać się w blasku fleszy na zawodach sportowych. Pewnie dlatego nikt nie wymyślił sejmowej komisji śledczej do zbadania, po cholerę wydano niemal 2 mld zł. Bo przecież NIK nie dobrała się do całoci kasy, która poszła na coś, o czym po kilkunastu miesiącach nie pamiętali nawet najstarsi Krakusi.

A jednak NIK skierowała do prokuratury kilka zawiadomień. Jedno dotyczy opłaty za prawo organizacji imprezy, która miała zostać przelana po jak najkorzystniejszym kursie euro. Każde dziecko wie, że jak ma się do wymiany dużą kasę, to negocjuje się nawet w kantorze. Szefostwo spółki to jednak nie dzieci, więc zleciło przelew po kursie sprzedaży oferowanym w danym dniu przez obsługującą ją bank. „W efekcie opłata dla Stowarzyszenia Europejskich Komitetów Olimpijskich (EOC) została zawyżona o co najmniej 2,5 mln zł” – stwierdziła NIK w donosie do prokuratury, podejrzewając, że doszło do wyrządzenia skarbowi państwa „szkody majątkowej wielkich rozmiarów”.

Poza tym NIK ustaliła, że ówczesny minister sportu i turystyki nie rozliczył w przewidzianym czasie pochodzącej z budżetu państwa dotacji celowej w wysokości niemal 277 mln zł. Co w przypadku IE nie było ani dziwne, ani przestępcze, bo kłopot z rozliczeniem dotacji mają też gospodarze igrzysk europejskich, choć od przekazania im koniecznych do tego dokumentów upłynął ponad rok. Ale dzięki temu ładnych parę osób wciąż ma pracę i związane z nią zarobki. Bo „brak rozliczeń uniemożliwia likwidację Spółki, a ponieważ kontrola rozliczeń trwa, Spółka wciąż działa i ponad półtora roku od zakończenia zawodów wciąż generuje koszty” – oświadczyli ludzie Banasia, tym razem nikogo za szkody wielkich rozmiarów nie winiąc.

Inspektorom nie spодobało się również, że promocja wydarzenia rozpoczęła się zaledwie pół roku przed jego inauguracją, bowiem dopiero wtedy spółka otrzymała pierwsze pieniądze. Poza tym działania promocyjne i informacyjne nie przełożyły się na liczbę kibiców na trybunach. Rozdystrybuowano bilety na 77 proc. miejsc, z czego 64 proc. było bezpłatnymi zaproszeniami. W związku z tym zyski ze sprzedaży biletów były o 700 tys. zł niższe niż koszty ich wydrukowania.

Bezkarność sponsorowana

I to chyba byłaby najlepsza pointa igrzysk europejskich w Polsce, gdyby nie to, że NIK nie spодobało się coś, co instytucji tej – dbającej wszak o publiczną kasę – spодobać się powinno. Tymczasem inspektorzy czepiają się tego, że spółka Igrzyska Europejskie 2023 zawarła zaledwie trzy umowy sponsorskie z trzema spółkami Skarbu Państwa na w sumie 21 mln zł. Zamiast pognąć do prokuratury z informacją, że państwowe firmy wyrzuciły w błoto taką kasę – bo nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyślałby, że ma sens ekonomiczny reklama na imprezie, której nikt nie zna.

Jeszcze w połowie zeszłego roku ministrowie odpowiedzialni za państwowe pieniądze strasznie zżymali się na to, że spółki Skarbu Państwa dają setki milionów na kluby sportowe. „Irw audyt dotyczący wydatków na sponsoring. Wstępne ustalenia wskazują na szereg nieprawidłowości w tej kwestii” – słyszały media w Ministerstwie Aktywów Państwowych. Mówiono głośno o zakazie sponsorowania sportu przez spółki sprzedające choćby coraz droższy prąd. Kiedy jednak Tusk z Nitrasem zapowiedzieli, że staramy się o olimpiadę letnią w 2036 r., dyskusja zdechła. Dla każdego było jasne, że przeważała na sporcie będą nietykalne. Zasilanie zaprzyjaźnionych klubów przez państwowe spółki kwitnie więc w najlepsze. Zaś informacja o tym, że resort aktywów państwowych przekazał do kancelarii premiera gotowy projekt kodeksu dobrych praktyk dotyczących sponsoringu sportowego, wzbudził w klubach powszechną wesołość. Szczególnie kawałek mówiący o transparentności wydatków na marketing sportowy.

TADEUSZ JASIŃSKI

Przewały na pięć kótek

nie wyraził chęci robienia czegoś, o czym przeciętny kibic nie słyszał, a jeśli już, to tyle, że pierwsze igrzyska odbyły się w stolicy Azerbejdżanu Baku w 2015 r., drugie zaś – cztery lata później u Łukaszenki w Mińsku.

Ani Baku, ani Mińsk nie stały się kolejną Barceloną, którą po olimpiadzie nagle zaczęło odwiedzać 10 razy tyle turystów, co wcześniej. W Polsce nikogo to nie interesowało. Dla PiS było jasne, że kurska TVP i tak sprzeda gawiedzi igrzyska jako wydarzenie o randze wszechświatowej. Prezydentowi Krakowa Jackowi Majchrowskiemu pisowski pęd do igrzysk dawał nadzieję na kolosalną kasę, którą rząd włoży w podwawelskie inwestycje.

komitetami olimpijskimi na organizowanie IE. Bez tej umowy imprezy by nie było.

Tymczasem szmalec obiecany przez władzę na igrzyska kurczył się w oczach.

Gdy sejm debatował o IE, rząd opowiadał, że przeznaczy na imprezę ok. 1 mld zł, a Kraków i Małopolska dorzucą po 100 mln zł. Gdy w styczniu przyszło do konkretów, wyglądały one tak: Kraków miał otrzymać z budżetu centralnego 500 mln zł. Około 100 mln zł zaplanowano na inwestycje sportowe w Tarnowie, Zakopanem i Krynicy-Zdroju. Bezpieczeństwo, transport, służby medyczne itp., czyli tzw. koszty organizacyjne, oszacowano na 400 mln zł, z tego po 100 mln zł miały przeznaczyć Kraków i Małopolska, a rząd pozostałe 200 mln zł. Na deser zaś spółka celowa ds. organizacji igrzysk powołana przez władze Małopolski miała otrzymać państwową dotację do 160 mln zł na opłaty licencyjne i części wydatków związanych z obsługą imprezy. W sumie dawało to 1 mld 160 mln zł.

Majchrowski podpisał kwity dotyczące 350 mln rządowych złotych na inwestycje miejskie i czekał. Doczekał się. Rząd zamiast 150 mln na krakowskie obiekty sportowe rzucił się kwotą o 100 mln zł wyższą. Dopiero w tym momencie prezydent Krakowa uznał, że mając zaklepane dla siebie 600 mln zł, może podpisać umowę z międzynarodowym organizatorem igrzysk.

Wyjść na wejściówkach

Igrzyska przygotowała spółka Igrzyska Europejskie 2023. Została założona przez województwo małopolskie ponad dwa i pół roku po wyborze Krakowa na organizatora IE. Przez pierwsze dziewięć miesięcy instytucja organizująca imprezę nie działała. A potem też nie działała, bo trwały przepychanki osobowe zakończone powołaniem prezesa.

REKLAMA

Prof. Magdalena Środa
Silne kobiety i zagubieni mężczyźni

Mateusz Cieślak
Mała Emi a sądowi hejterzy

Żelazny elektorat to mit

Sosnowiec
– miasto z potencjałem

tygodnikprzeglad.pl

P **Przegląd**

Prof. Magdalena Środa
Silne kobiety i zagubieni mężczyźni

Mateusz Cieślak
Mała Emi a sądowi hejterzy

Żelazny elektorat to mit

Sosnowiec – miasto z potencjałem

PANI BARBARA I TAJEMNICE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO

Sportowe firmamenty

Tyle samo gwiazd rodzi się, ile gaśnie.

Nie jestem znawcą kina, nie wiem, ile razy nakręcono film „Narodziny gwiazdy”. Pierwszy raz, jak wyczytałem, w 1937 r. Najślawniejszy obraz w reżyserii George’a Cukora i z Judy Garland w roli głównej nagrywano, gdy ledwie co nauczyłem się chodzić. Do tematu wrócono w 2018 r. I wróci się zapewne jeszcze nie raz, bo widzowie lubią oglądać, jak rodzi się wielka gwiazda estrady.

Kibice też chcą patrzeć, jak rodzą się gwiazdy sportu. Niektórzy młodzi zawodnicy okrzyknięci zostają mianem gwiazdy przedwcześnie. Ich kariery gasną wcześniej, niż na dobre rozbłyśną. Naoglądałem się tego sporo. Czasem właśnie grad komplementów, który spływa na nieprzygotowaną do tego młodą osobę, hamuje jej karierę, albo nawet ją burzy. Sportowiec musi mieć grubą skórę, potrafić odcinać się zarówno od nadmiernie pochwalnych, jak i niezastępowalnych krytycznych ocen. W dobie wszechobecnych portali społecznościowych jest to bardzo trudne.

Przedwczesna gwiazda

Zacznę od nieoczywistego przykładu z zagranicy. Pamiętacie Adnana Januzaję? Gdy pojawił się w 2013 r. w Manchesterze United, świat zawołał: „Narodziła się gwiazda”! Też tak myślałem. Młodzieniec o dziecięcej twarzy czarował techniką, dojrzałą grą, no, po prostu miał wszystko, co charakteryzuje wybitnego futbolistę.

Walkę o Januzaję rozpoczęły reprezentacje narodowe. Tak się złożyło, że miał prawo występować w kilku. Urodził się w Belgii i tam zresztą zaczął kopać piłkę. Jest Albańczykiem, ale jego dziadkowie wywodzili się z Turcji. Mógł reprezentować też Serbię lub Kosowo, wówczas nie był jeszcze uregulowany status kraju, który opuściła jego rodzina, bu udać się na emigrację do Belgii. Chłopak, kuszony ze wszystkich stron, długo nie mógł się zdecydować. Jako młodzieżowiec chciał występować dla Albanii lub Kosowa, wreszcie obietnica pewnego miejsca w pierwszej jedenastce sprawiła, że wybrał Belgię.

Dziś już nie biją się o Januzaję. Owszem, gra w piłkę, nawet niezłe, ale nikt nie powie, że jest gwiazdą. Z Manchesteru United wypożyczany był do różnych klubów, aby w końcu wylądować w Sevilla FC, średniej klasy drużynie La Liga, w której wchodził na boisko najczęściej jako zmiennik.

Opowiedziałem historię tego piłkarza, żeby pokazać, jak łatwo mówimy o narodzinach gwiazdy i jak prędko ginie ona gdzieś w tłumie innych, większych gwiazd. Przykłady nie do końca wykorzystanych talentów w futbolu mógłbym ciągnąć bez końca, podpierając się przypadkami z różnych boisk.

Święta trójca tenisa

Przejdźmy do spraw bliższych naszemu sercu. Gdy pięć lat temu Iga Świątek wygrywała po raz pierwszy tenisowy French Open na kortach Rolanda Garrosa, mało kto za granicą potrafił wymówić jej nazwisko. Najczęściej słyszeliśmy o jakiejś „Świątek”. Dziennikarze pytali, co w języku polskim znaczy słowo „Świątek”, i dowiadywali się, że świątek jest figurą w przyrodznej kapliczce, do której modli się okoliczna ludność. Iga Świątek – prędko nauczono się prawidłowo wymawiać jej na-

zwisko – nie zawiodła tych, którzy po jej pierwszym wielkim sukcesie zaczęli mówić o narodzinach gwiazdy.

French Open wygrała cztery razy, dorzuciła kolejną lewą Wielkiego Szlema, zwyciężając w 2022 r. US Open. Wspięła się na pierwsze miejsce światowego rankingu, a brązowy medal igrzysk olimpijskich w Paryżu przyjęto w kraju z lekkim rozczarowaniem, bo przecież miała tam wygrać.

Iga Świątek wciąż jest jasną gwiazdą sportu – to nic, że w rankingu WTA spadła na drugie miejsce wyprzedzona przez Białorusinkę Arynę Sabalenkę. Wciąż jest rozpoznawaną na całym świecie tenisistką. W tym roku dwukrotnie przegrała jednak z Rosjanką Mirrą Andriejewą.

17-letnia Rosjanka, choć taka młoda, przeszła długą drogę. Urodziła się w Krasnojarsku, półtoramilionowym mieście na Syberii. Zaczęła trenować w wieku sześciu lat, co jest normą we współczesnym zawodowym sporcie. W poszukiwaniu lepszych warunków treningowych rodzina przeniosła się do Soczi, a postępy czynione przez Mirrę otworzyły przed nią cały świat. O zdolną dziewczynkę zaczęli zabiegać akademie tenisowe z Hiszpanii, Francji i USA. Zdecydowała się na Elite Tennis Center w Cannes. We francuskim mieście zamieszkała z rodziną, także starszą siostrą Eriką, również zawodową tenisistką. Teraz Rosjanie obawiają się, aby wzorem innej ich tenisistki Warwary Graczonej nie przyszło jej do głowy wystąpić o francuski paszport.

Tenisowy czy – szerzej – sportowy świat nie ma wątpliwości: jesteśmy świadkami narodzin gwiazdy. Wydaje się, że podobnie jak jeszcze niedawno w męskim tenisie mieliśmy wielką trójkę: Novak Djoković, Roger Federer i Rafa Nadal, teraz będzie kobieca wielka trójka: Iga Świątek, Aryna Sabalenka i Mirra Andriejewa.

Nowe pokolenie

Zmieniamy dyscyplinę. Z igrzysk olimpijskich w Paryżu polscy lekkoatleci wrócili z jednym brązowym medalem wywalczonym przez Natalię Kaczmarek w biegu na 400 m. Nikt nie mówił, że oto narodziła się nowa gwiazda, bo talent i umiejętności polskiej biegaczki podziwiano od dawna. Z igrzysk olimpijskich w Tokio w 2021 r. (rozegranych z rocznym opóźnieniem ze względu na pandemię) przywiozła złoty medal w sztafecie mieszanej i srebrny w sztafecie 4x400 m. Ma w kolekcji medale najróżniejszych kolorów z mistrzostw świata i Europy.

Po powrocie z Paryża Natalia Kaczmarek zmieniła stan cywilny, wyszła za mąż za lekkoatletę Konrada Bukowieckiego i teraz zaczęła starty pod tym nazwiskiem. Być może gdzieś w świecie pisząc będą o Natalii Bukowieckiej jako o nowej gwiazdce, która rozbłyśła na lekkoatletycznym firmamencie. Pamiętajmy, że gdy byłem dziennikarzem sportowym w przedinternetowej epoce, czasem popełnialiśmy takie błędy; dziś można szybko sprawdzić panięskie nazwisko zawodniczki.

Brązowy medal w Paryżu nie był tym, do czego przyzwyczała nas polska lekkoatletyka. Niestety, wiele gwiazd, które przez ostatnie lata podziwialiśmy,

zbliży się do końca karier. Na szczęście niedawne halowe mistrzostwa Europy w holenderskim Apeldoorn pokazały, że za ich plecami rozwijają talent młodzi. Okazało się, że nasza lekkoatletyka stoi teraz biegami sprinterskimi przez płotki.

Mistrzem Europy w biegu na 60 m przez płotki został 23-letni Jakub Szymański i – co jest przywilejem zwycięzców – udzielił wielu wywiadów. Nie, nie wyglądał na nowicjusza onieśmielonego zainteresowaniem, jakie wzbudził. Był pewny siebie, zapowiedział, że walczyć i wygrywać może z najlepszymi na świecie. Przyznam,

Jedyny medal w Nankinie zdobyła w minioną niedzielę kończąca zawody sztafeta 4x400 m kobiet. Można powiedzieć, że skład sztafety srebrnych medalistów w symboliczny sposób odzwierciedlał obecną sytuację polskiej lekkoatletyki.

Na pierwszej zmianie pobięła Justyna Święty-Ersetic, 32-letnia multimedalistka olimpijska i innych mistrzowskich imprez. Później na bieżnię ruszyła młodzież. Aleksandra Formeła ma 24 lata i podobnie jak liderka sztafety jest multimedalistką, ale mistrzostw Polski w różnych kategoriach wiekowych. Za nią ruszyła Anastazja Kuś (pisałem o niej kiedyś), zaledwie 17-letnia biegaczka średniostansowa, najmłodsza polska uczestniczka igrzysk

ska, która wcześniej doprowadziła Wojciecha Nowickiego do tytułu mistrza olimpijskiego. Ma Ewa od kogo uczyć się techniki.

Z taniego importu

Niestety, na polskich piłkarskich boiskach nie narodziła się żadna nowa gwiazda. Jeśli koniecznie chcemy mówić o gwiazdach, to raczej spadających. Robert Lewandowski ma 36 lat. Jak długo jeszcze będziemy mogli czerpać narodową dumę z gry tego napastnika?

Co gorsza, nie widać następcy. W drugiej rundzie eliminacyjnej mistrzostw Europy do lat 19 Polacy przegrali z Czarnogorą 0:1 i dalsze losy reprezentacji nie zależą już tylko od jej występów; trener i piłkarze muszą patrzeć, jak grają rywale. Starsze osoby lubią się powtarzać, to jedna z cech podeszłego wieku. Już kilkakrotnie pisałem w tym miejscu, że powinniśmy się przyzwyczaić, iż

**jesteśmy futbolo-
wą prowincją,
a nie rozbudzać
nadzieje po jakimś
sukcesiku czy le-
piej zagrany
meczu. I będę po-
wtarzać. Po co
mamy jechać na
mistrzostwa świa-
ta lub Europy?
To nie jest towa-
rzystwo dla nas.**

Jesteśmy za słabi i patrząc na młodzieżowe reprezentacje, nic nie wskazuje na to, że będziemy w przyszłości mocni. Świat idzie do przodu, my się cofamy.

Czego brakuje polskiej piłce? Wszystkiego, prócz pieniędzy, bo sport, szczególnie futbol, jest hojnie zasilany z państwowej kasy, a i prywatnych sponsorów nie brakuje.

Jeśli kogoś dziwi, dlaczego w Ekstraklasie gra tak wielu Hiszpanów i Portugalczyków, musi wiedzieć, że zawodnicy ledwie łapią się tam do trzeciej ligi u nas zarabiają godziwie, bo i tak są lepsi od młodych Polaków. Ekstraklasa staje się pomału filią trzecich lig europejskich. Po prostu szkolenie u nas – jak określił to kiedyś red. Andrzej Twarowski, którego bardzo cenię – gnije. Prościej i taniej jest kupić słabeusza z zagranicznej cenionej ligi niż wyszkolić swojego chłopaka. A polski młodzieniec, gdy tylko nauczy się jako tako grać w piłkę, marzy tylko o tym, żeby jak najprędzej opuścić nasz piękny kraj. Żeby zmusić kluby do szkolenia chłopaków, Ekstraklasa wprowadziła kiedyś kary finansowe za brak młodzieżowca na boisku. I co? Okazało się, że klubom taniej wychodzi zapłacić karę niż szkolić.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



ILUSTR. PAWEŁ FERENC

że bardzo mi się to spodobało. W sporcie sukcesy odnoszą ludzie przekonani o swojej mocy, nawet na skraju bezczelności, a nie ci, którzy przepraszają, że żyją.

Jakub Szymański zapowiedział medal podczas rozgrywanych krótko po czempionacie Europy mistrzostw świata w Nankinie. Nie udało się. W biegu półfinałowym prowadził, ale potknął się na ostatnim płotku. Bywa.

W Apeldoorn brązowy medal zdobyła płotkarka Pia Skrzyszowska. Ona i jej ojciec, a zarazem trener, stwierdzili, że szczyt formy szykują na Nankin i są gotowi do pobicia liczącego sobie – o ile się nie mylę, jestem słaby w statystykach – pół wieku rekordu Polski na 60 m przez płotki w hali. Pia w Nankinie rekord pobiła, ale trzech tysięcznych sekund zabrakło do brązowego medalu.

olimpijskich w Paryżu, córka piłkarza Marcina, który kilkakrotnie zagrał na obronie w reprezentacji Polski. Bieg kończyła zawodniczka – jeśli wolno tak powiedzieć – średniego pokolenia 26-letnia Anna Gryc. Jej zadaniem było utrzymanie pozycji wywalczonej przez koleżanki.

Anita Włodarczyk, trzykrotna złota medalistka olimpijska, czterokrotna mistrzyni świata i wielokrotna rekordzistka świata w rzucie młotem, nie zakończyła jeszcze kariery, ale zapowiedziała, że na kolejne igrzyska do Los Angeles już nie pojedzie. Czy może doczekać się godnej następczyni? Coraz więcej mówi się o 24-letniej Ewie Różańskiej, dziewczynie o niewiarygodnie wprost sile, ale z dużymi brakami w technice. Oczywiście Anita Włodarczyk jest jej idolką, a trenerką – od niedawna Malwina Wojtulewicz-Sobieraj-



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autoryzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski,
Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Micińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 26.03.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Eurodeputowany Jacek Ozdoba przejechał się ulicami Brukseli. A to popchnął dziewczynkę jadącą na rowerze, a to zablokował wrotkarza, a to podstawił nogę chromemu staruszkowi. Chciał za takiego uchodzić: nie znosić obojętności, marazmu, znużenia. Wyglądać na człowieka aktywnego, dla którego liczą się tylko akcja i reakcja, a nie jakieś ciepłe kluchy i flaki w oleju. Pragnął, aby życie smakowało jak czekolada z chili – słodko, lecz pikantnie.

W rzeczywistości był zupełnie inny. Uległy. Potulny. Łagodny. Marzył o tym, żeby pewnego dnia porwały go dominy – cztery albo pięć. Żeby rozłożyły go na pryczy, przywiązały nylonowymi pończochami każdą nogę i każdą rękę. Żeby zdjęły mu spodnie i pejczykami dotknęły jego pobudzonej męskości. Żeby wszystkie nosiły lateksowe kostiumy, okulary w grubych czarnych oprawkach i miały twarze prokurator Ewy Wrzosek. Za udział w takiej zabawie Ozdoba oddałby wszystko.

Niechby domina o twarzy Ewy Wrzosek założyła mu obrozę i kaganiec. Niechby wzięła go na smycz. Niechby wsypywała mu do miski suchą karmę z Doliny Noteci, a w nagrodę, że wszystko zjadł, wyprowadzała go na spacer.

Niestety Ozdoba żył w brutalnym świecie, w którym żeby utrzymać się na politycznej powierzchni, musiał udawać samca alfa: grozić popchnięciem pani prokurator, wymieniać wulgarne uwagi z takimi ludźmi jak Suski, Kamiński czy Wąsik, dawać się klepać po ramieniu Kaczyńskiemu i Ziobrze.

– Kurwa! – zaklął po męsku i w wyrazie rozpaczy popchnął przechodzącego obok męczężynę, który odwrócił się i bluznął po polsku:

– Co jest, do chuj! trypla, skurwysynu pierdolony, brudna pało?!
– Daniel? – zapytał Ozdoba.

Jakie to jednak małe miasto! Rozpoznałszy kolegę z partii, eurodeputowany Daniel Obajtek rzucił mu się na szyję.

– Dobrze usłyszeć świętą polską mowę – rzekł z emfazą.

Ozdoba westchnął. Wyobraził sobie, że jest Belgiem, Francuzem czy Estończykiem. Że bierze za rękę kolegę z partii, też Belga, Francuza czy Estończyka. Razem idą do klubu sado-maso, kładą się na sąsiednich pryczach, cieszą się każdym ciasnym węzłem i ostrym jak igła smagnięciem pejca.

Ozdoba był jednak Polakiem i pisowcem. Musiał tak tańczyć, jak mu grano, dlatego zwrócił się do Obajtki lekko ochrypniętym głosem: – Nie mogę odżałować, że w Warszawie nie pchnąłem tej socjopatki Wrzosek.

Obajtek nie odpowiedział, ale po jego minie Ozdoba sądził, że też żałuje.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN tęskni za politykami, którzy nie łżą w żywe oczy. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** tęskni za tramwajem.

Wołk-Łaniewska: – Serio? Tęsknisz za politykami, którzy mówią prawdę? A jednorożec ci się nie marzy?

Senyszyn: – Im dłużej trwa kampania wyborcza, tym bardziej staje się widoczne, że kandydaci idą na smyczy sondaży i zmieniają pod publiczność nie tyle poglądy, bo ich nie mają, co swoje wypowiedzi. Stąd moja irytacja. Ale tęsknota za tramwajem to stan ducha, o jakim nie słyszałam...

– A bo mi Bązur zabrał siedemnastkę. Teraz już na pewno na niego nie zgłoszę.

– Oczywiście, że nie, zgłoszujesz na mnie. Ale co to znaczy, że Trzaskowski zabrał ci siedemnastkę?

– No, nie chodzi. Aż do 25 maja. Jak dobrze pójdzie, a raczej nie pójdzie, bo remonty w Warszawie spóźniają się czasem o rok. Jak ja teraz będę żyła?

– Muszę ci powiedzieć, że jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś był w tak namiętym związku z linią komunikacji miejskiej...

– Ale to jest naprawdę moja najlepsza przyjaciółka. Przejeżdża mi przez duży pokój co parę minut i zawozi mnie, dokąd chcę: na siłownię, na manicure, na rzesę, na dworzec, do Arkadii i do GalMoku, a w drugą stronę do miejscy, w którym nigdy nie byłam, ale podoba mi się z nazwy: Winnica.

– No, to rzeczywiście ładnie z jej strony...

– I mało tego, organizuje moje życie nocne. Mam taką dziwną przypadłość, że jak się budzę w nocy, nie lubię patrzeć na zegarek. I wtedy idę do dużego pokoju i patrzę przez okno. Jak idzie siedemnastka, to znaczy, że już świt i nie warto próbować zasypiać... A teraz ten zły człowiek mi to wszystko odebrał z powodu głupiego remontu szyn...

– I to jedyny zarzut, który masz do Trzaskowskiego?

– Najbardziej osobisty. Poza tym odnoszę wrażenie, że jest po prostu głupi, ale to przecież nigdy głowie państwa nie przeszkadzało; ostatnim inteligentnym prezydentem RP był Kwaśniewski. Ty wiesz, co on ostatnio powiedział?

– Kwaśniewski?

– Nie, Trzaskowski. Polazł do Polsatu, gdzie Szubartowicz z Witwickim przesłuchiwali go przez godzinę. Szubartowicz, co kiedyś pracował w „Trybunie”, ale teraz jest piewcą PO, łagodnie – za to Witwicki, niech będzie pochwalony, zasadniczo. W wyniku czego tak się chłopina zapętlil w obronę populistycznych obietnic dla platformerskiej bizbazy...

– Czego przepraszam?

centralizację Brzoska proponuje też jako nowość tzw. milczące załatwienie sprawy, które już istnieje. Przykładowo w gdyńskim urzędzie miasta, jeśli w dwa tygodnie nie dostanie się odmowy na wycięcie drzewa, można wycinać.

– Jak w grę wchodzi wyróżnienie pojedynczego drzewa, to jeszcze pół biedy. Ale pomysł, aby obając zasadą milczącej zgody wszystkie zezwolenia urzędnicze, jest absolutnie znakomity. Wszak żadnemu z polskich przedsiębiorców – którzy są, jak wszyscy wiemy, co do jednego kryształowo uczciwi – nawet przez myśl nie przejdzie, żeby zalać urząd setkami kretyńskich wniosków, żeby w tej powodzi przemycić poza kontrolą ten jeden, o który im chodzi, a który w żadnym przypadku nie powinien uzyskać zgody...

– No oczywiście, że by im nie przyszło do głowy, dopóki im nie podpowiedziałaś.

– Ups. Oczywiście z tym problemem można sobie poradzić: wystarczy zatrudnić sto tysięcy nowych urzędników do terminowego odpowiadania na wnioski.

– Słusznie. Podwołanie liczby urzędników to koncept deregulacyjny równie nowatorski jak centralizacja.

– Nie żebym była za deregulacją generalnie... Wracając do Bązura – bo nas nieco zniosło z kursu...

– Wracajmy.

– No więc ogłosił jeszcze, że podpisał deklarację LGBT, bo tak mu kazał ksiądz katecheta...

– To on wciąż chodzi na religię?

– Nie, dawno chodził, za komuny. „Mój bardzo mądry ksiądz katecheta nauczył mnie, że trzeba bronić, jak ktoś jest atakowany” – wyjaśnił swoje zaangażowanie w prawa osób nieheteronormatywnych postępowy kandydat na prezydenta. Czy oni się naprawdę w tej Platformie na łby pozamięli z nie-powiem-czym? A skoro już jesteśmy przy elitach rządzących – widziałas, że wiceminister Szejna przyznał ci rację?

– Bez przesady z tą racją. Było raczej jak w dowcipie o żonie, która mówi terapeutce od związków: „Mąż mnie zdradza, czy mu o tym powiedzieć?”. A on na to: „Nie trzeba, mąż o tym wie”. W dodatku Szejna czujnie nie podał, kiedy się leczył, czy dopiero w trakcie wiceministrowania, bo jeśli wcześniej, to nieskutecznie. Ale faktycznie przyznał, że pił, o czym przecież wszyscy wiedzieli.

– Oprócz Czarastego. Włodzio strasznie się wiał, kiedy go dziennikarze zapytali, dlaczego powiedział u Piaseckiego, że przez 20 lat nie widział Szejny pijanego... Tłumaczył, raczej mało wiarygodnie, że nigdy nie widział, żeby się kolega zataczał albo seplecił, „czyli te standardowe historie, które myślimy o osobach pijących alkohol”. I nawet się zgodził z dziennikarką, że nie każdy pijany się zatacza, ale szybko wyjaśnił, że on „nie jest specjalistą od tego”. Od picia znaczy. A na koniec poinformował wzniośle, że „osobiście wyznaje taką zasadę, że choremu trzeba pomóc, a nie położyć go na podłodze i kopać”. Pewnie katecheta go nauczył...

– I zapewne żałuje, że nie może pomóc wszystkim alkoholikom, bo jest za mało stanowisk ministerialnych, nawet w rozdętym rządzie Tuska. Akurat Szejny nikt nigdy nie kopał, a przeciwnie. Pomagali mu Oleksy, Miller, a Czarastego jest wręcz pupilkim i stąd te igrasztwa. Ciekawe, czy w czasie rozmów premiera Tuska z przewodniczącym Czarastym o obsadzie stanowiska wiceministra spraw zagranicznych było jak w dowcipie o ślepym koniu, który zapytany, czy weźmie udział w Wielkiej Pardubickiej, odpowiedział: „Nie widzę przeszkód”.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI